Rok XII. **TYGODNIK KATOLICKI.** Rok XII.

№ 36. Grodzisk, 9. września 1871. № 36.

Tygodnik katolicki wychodzi co **Sobotę**. **Prenumerata** ćwierćrocznie wynosi: 1) **na pocztach pruskich** 1 tal. 20 sgr, 2) w **Galicyi** 3 fl. 3) w **Król. Polsk.** 2 ruble. 4) We **Włoszech** 2 tal. 5) We **Francyi** 2 tal. 5 sgr. 6) W **Turcyi** 2 tal. 10 sgr. 7) W **Ameryce** 2 tal. 15 sgr. 8) W **Australii** 2 tal. 20 sgr.
Listy z zagranicy adresować należy do **Poznania** (**Posen**, Grand Duché de Posen). — Redakcya przyjmuje tylko **frankowane** listy, reklamacye i korespondencye. Rękopisy nie zwracają się (tylko na uprzednie żądanie) i ulegają zniszczeniu.

Deum, qui proposito tuo favit hactenus, rogamus, ut potiora semper et uberiora eidem incrementa largiatur in sui nominis gloriam et gentis tuae utilitatem. (List Ojca św. Piusa IX. do Redaktora Tygodnika katolickiego.)

Niektóre uwagi dla spowiedników.

III.

(Ciąg dalszy).

Wyznanie grzechów, czyli spowiedź, bardzo u nas bywa niedostateczna ze strony penitentów; lud nasz po większéj części mie umie się spowiadać. Wiele pracy i poświęcenia potrzeba, aby dzieci do pierwszéj przygotować spowiedzi, ale nawet i to troche, czego się nauczą, ledwie przy pierwszéj spowiedzi przestrzegają, drugim razem już się nie umieją spowiadać. Rzadko u nas kto z ludu odmawia spowiedź powszechną, chociaż ją umieją; często się zdarza, że penitent przyszedłszy do konfessyonału, nic nie mówi, czekając, aż spowiednik sam zacznie. Tu przypisuję winę w wielkiéj części samym spowiednikom, bo są niektórzy tych zasad, iż tylko sami się pytają, nie czekając ani pozwalając, ażeby penitent sam grzechy swe wypowiedział; czynią to w dobréj myśli, aby ujść niepotrzebnych rzeczy, skorzystać na czasie i uniknąć powodu do niecierpliwości. Prawda, spowiedź niejednego prostego człowieka jest męką dla spowiednika; jego niepotrzebne, szczegółowe banialuki, z których ostatecznie niczego się nie dowiaduje, jego wyrażenia, jego namyślanie się i dziwna lękliwość, mogą prawdziwie spowiednika zniecierpliwić; jednakże tak się czynić nie godzi. Po cóż nam się było męczyć z dziećmi, aby je nauczyć, jak spowiedź mają zacząć, jak się mają spowiadać, jak mają zakończyć, jeźli późniéj nie pozwolimy dziecku tego wypowiedzieć? Spowiednik taki, powiedziałbym, jest tylko maszyną ciągle się obracającą, albo co najwięcéj, rewizorem podpisującym kwity interesentów. Spowiedź u nas w Sakramencie pokuty św. ma wielkie bardzo znaczenie; spowiedź to wyrzucenie ze serca śmieci grzechowych, spowiedź żałosna i ze wstydem połączona, to zadosyć uczynienie i odpokutowanie za grzechy, spowiedź to prawdziwa oliwa na rany zbolałego serca; ale wydaje ona te owoce w obfitości wtenczas, kiedy ją penitent sam osobiście czyni. Na spowiedzi grzesznik ma wyjawić to, co wie o swych występkach, ma otworzyć sumienie swoje ze wszystkiemi zdrożnościami, grzesznik na spowiedzi ma „sui delicti conscientiam confiteri,“ jak mówi św. Cypryjan (de Lapsis 26). Spowiedź jestto oskarżenie samego siebie przed kapłanem, i grzesznik występuje tu nie tylko jako oskarżony lub jako świadek, ale głównie jako oskarżający, który całą swą winę wypowiada, żądając kary na siebie. Tak spowiedź uważa Sobór Trydencki mówiąc (sess. 14. cap. 5.) „oportere a poenitentibus omnia peccata mortalia quorum post diligentem sui discussionem conscientiam habent, in confessione recenseri;“ stąd też ks. Krukowski w swém nieocenioném dziele powiada, że „pierwszym obowiązkiem penitenta jest wyznawać samemu swe grzechy, a więc nie czekać, aż się spowiednik będzie zapytywał;“ a do spowiedników znów mówi, iż „tak trzeba (penitentów) przyuczyć od maleńkości, aby sami mówili co potrzeba.“ Spowiednik niepozwalający penitentowi samemu się spowiadać, bierze niejakoś na siebie odpowiedzialność za zupełną i dokładną spowiedź; więc téż zdarzają się wypadki, że penitenci tylko to wypowiadają, o co ich się kapłan pyta, zamilczając inne jeszcze grzechy, tłomacząc się na późniejszych spowiedziach tém, że ich spowiednik nie pytał się o to. Od samego tedy początku trzeba na to uważać, aby penitenci dokładnie się spowiadali, rozpoczynając wyznanie grzechów spowiedzią powszechną, a kończąc wyrażeniem swego żalu i szczeréj woli poprawy. Nawet nie powinien kapłan przerywać spowiadającemu się swemi pytaniami. Nie mówię, jakoby spowiednik wcale się pytać nie miał, boć to jego obowiązek, ale tylko o tyle, ile mu potrzeba, aby poznać „indolem et ingenium“ penitenta, aby spowiedź jego była zupełna; więc téż penitentów dobrze się sposobiących do tego Sakramentu św. o nowe grzechy pytać się nie ma obowiązku. W ogóle spowiednik nie powinien penitenta ani nużyć ani niepokoić niepotrzebnie pytaniami. Ważne są też pytania odnoszące się do dawniejszych spowiedzi, czy się szczerze wyspowiadali, czy mieli szczerą wolę poprawić się, czy się dobrze przygotowali. Ostatnie szczególniéj pytanie przypomni penitentom obowiązek przygotowania się do spowiedzi św. Niezawodnie, że prędzéj i wygodniéj odbędzie się spowiedź przez pytania, ale nie z przynależnym pożytkiem dusz. Wielkie są wprawdzie utrapienia i niewygody przy słuchaniu spowiedzi, ale Pan Bóg wynagrodzi sowicie cierpliwość naszą. Długiéj potrzeba pracy, aby parafianie sami się dobrze spowiadali, długiéj, cierpliwéj i nieustannéj pracy, ale praca ta wielkie przynosi owoce. Sumienie bowiem penitenta większą uczuje skruchę, większego dozna pokoju, a co więcéj, penitent sam się spowiadając, czegoś pewno się nauczy. Głównie zważać i pouczać trzeba tego, aby tylko grzechy, a nie zalety albo bajki opowiadali, aby siebie a nie innych oskarżali i aby się przyzwoicie wyrażali; tego nauczać trzeba i w konfessyonale i na kazalnicy.

Kończy się spowiedź pytaniami, że tak powiem stereotypowemi: czy żałujesz za grzechy? czy obiecujesz się poprawić? Wielu spowiedników czując tu jakąś jednostajność machinalną, dodaje jeszcze: czy kochasz Pana Boga z całego serca? lub: chcesz Panu Bogu wiernie służyć? Pytania te uważam szczególniéj u ludu za niestósowne, bo za abstrakcyjne, czego lud niezupełnie rozumie, a przynajmniéj nie wie często, co ma sobie myśleć przy tém. Lepiéj tedy zamiast tego pytać się o żal za każdy grzech z osobna i znów o poprawę pod każdym względem. Odpowiedniejsze dla ludu pytanie: czy żałujesz za to, czy się martwisz, gniewasz na siebie, żeś Pana Boga obraził tą klątwą? pijaństwem? i t. d. czy masz chęć i szczerą wolę już się więcéj nie upijać? nie chodzić do gościnców itd. (ale nie mówić: czy się już nie upijesz? czy już nie będziesz klął, bo tu o przedsięwzięcie i szczerą wolę chodzi). Ważne też jest pytanie, jakie niektórzy spowiednicy czynią: „czy masz nadzieję, że ci Pan Bóg grzechy odpuści? pytanie to w grze-

szniku pokutującym obudzi jeszcze bardziéj sumienie, jeźli czego albo nie szczerze się wyspowiadał, albo nie szczerą miał skruchę.

Są spowiednicy, którzy lubią na spowiedzi św. najobszerniejsze udzielać nauki, tak, iż spowiedź jest więcéj nauką katechizmową, aniżeli spowiedzią sakramentalną. Głównie przecież, i powiedziałbym, jedynie o to starać się należy, aby wszystkie warunki konieczne do zmazania grzechów były wypełnione; a więc: ażeby spowiedź była zupełna, ażeby wreszcie pobudzić do gorliwéj pokuty i zadosyćuczynienia. Są to rzeczy należące do istoty Sakramentu św. i zdaje mi się, że spowiednik tu dosyć i czasu i pracy poświęcić musi, aby szczególniéj lud nasz wiejski do dokładnego odprawienia tych istotnych warunków doprowadził, aby z niego wymógł i wydusił niejako szczerą i zupełną spowiedź, skruszył jego serce, nakłonił do prawdziwéj woli poprawy i zadosyć uczynienia. Nie mówię tu, jakoby lud nasz był tak zepsuty i upadły, ale to pewna, że najczęściéj nie wie jak się spowiadać, jak żałować, nie umie sobie tu poradzić. Niejedni spowiednicy pewno doświadczyli, ile tu trzeba zażyć mozołu, aby wydobyć z ludu liczbę grzechów; zwykle na pytania odpowiadają: nie wiem, nie pamiętam, czasem: kilka razy; liczby nigdy nie chcą podać, a to przecież warunek ważny spowiedzi, tego spowiednik koniecznie dojść musi. Gdyby to jeszcze to „czasem, raz kiedyś“ pewne u wszystkich miało znaczenie, ale u niejednych znaczy raz w tydzień, u drugich, że 2, 3 razy w rok; również to „nie wiem, nie pamiętam“ więcéj za lenistwo w zastanowieniu się uważać należy, aniżeli za rzeczywistą prawdę. — Przy wzbudzeniu żalu nasz chłopek rzadko umie sobie poradzić, szczególniéj nieumiejący czytać; jemu zdaje się, że odmówienie kilku pacierzy najlepszy i jedyny żal za grzechy. Nie dosyć tedy dla takiego gołe czynić pytania: czy żałujesz za grzechy? ale trzeba się odezwać: „Rozważ bracie jak ciężko Bóg ukarał Adama i Ewę za jeden grzech i to dość lżejszy od twego, rozważ ilu to już umarło w tym samym grzechu, w tym samym wieku i stanie od czasu jak zgrzeszyłeś. Tobie Pan Bóg nic nie zrobił złego, choć daleko więcéj i cięższe popełniłeś grzechy; porachuj je tylko; kląłeś, powiadasz, co dzień, masz na tydzień 7, na miesiąc 30 grzechów; upiłeś się co tydzień raz, a więc od ostatniéj spowiedzi tyle i tyle; krzywdziłeś innych, policz to wszystko, a pewno się zlękniesz dla mnóstwa tych grzechów, za które Bóg cię jeszcze nie karał, ale jeszcze ci dał i życie i łaskę, że się możesz wyspowiadać. Padnij na kolana przed tym Bogiem, powiedz Mu, że cię wstyd, że cię boli, że się martwisz, iżeś to zrobił, powiedz Mu, że płakać chcesz całe życie, że całe życie pokutować będziesz, żeś tak dobrego Pana obraził; inni tak zgrzeszyli jak ty, a już do spowiedzi nie przyszli, tobie dał Bóg dobre myśli i możesz się znów nieba spodziewać. Na klęczkach przyobiecaj temu Bogu, że już od dziś noga twoja tam nie postoi, że już ust twoich nie otworzysz nie tylko na złe, ale nawet na to co niepotrzebne; powiedz, że wolałbyś, aby ci ręka uschła, aniżelibyś miał jéj użyć na złe. Wejrzyj w górę, jak całe niebo z natężoném uchem słucha, co ty powiesz na ta téj św. spowiedzi, patrz jak się cieszy twój św. patron, twój Anioł stróż, jak się cieszy Najśw. Marya Panna i sam Pan Jezus, żeś taką szczerą powziął wolą. Ciężko ci może pozbyć się grzechu, ale proś o pomoc twego patrona, twego anioła stróża, Najśw. Maryi Panny, téj ucieczki grzeszników, niech ci wszyscy za tobą się modlą, abyś sobie dobrze grzechy obrzydził i miał moc już więcéj nie grzeszyć. O przeklęte grzechy moje, powiedz sobie, że dla nich tak sromotnie, tak bezwstydnie Boga mego dobrego obraziłem.“ —

Nauki na spowiedzi za wiele zajęłyby czasu i uwagi penitenta; chociaż znów bez nauk nie podobna się zupełnie obejść. Ambona najstósowniejszém miejscem do nauczania, i dobrzeby było najwięcéj katechizmowych miewać nauk. Nie tyle pożytku ludowi prostemu przyniesie piękne kazanie np. o niewdzięczności grzesznika względem Boga — o szczęściu jakiego dusza doznaje w modlitwie — o spokojności sumienia po dobréj spowiedzi itd. — jak katechizmowa nauka dająca pojęcie, co to jest grzech, kiedy się grzech popełnia śmiertelny, a kiedy powszedni, o modlitwie, jak się trzeba modlić, jak się do modlitwy zabierać; o Sakramencie pokuty św., jak się przygotować, jak się rachować ze sumieniem, jak się spowiadać, jak żałować. Szukać tedy trzeba w kazaniach praktycznych nauk o rzeczach, które każdy chrześcianin wypełniać powinien; inne kazania stósowneby były dla ludzi już obeznanych z temi prawdami i praktykami. Oprócz ambony szkoła jest miejscem może jeszcze stósowniejszém, i tu nie można dosyć zalecić, aby dusz pasterze dopilnowali nauki religii w szkole, tu stąd dziecko może i powinno wynieść naukę na całe życie; tu praca dusz pasterzy powinna być bardzo gorliwa. Na spowiedzi zdarzyć się tylko może okazya do nauki, a najczęściéj brak czasu nie pozwoli się wdawać w katechizacyą. Lud nasz przychodzi prawie tylko w niedzielę i święta lub na odpusta do św. spowiedzi, rzadko, powiedziałbym, nigdy w dni powszednie. Wysłuchać 30—50 lub więcéj ludzi w niedzielę i święta, obok tylu innych zajęć pewno zajmie czas wolny tego dnia; na odpustach jeszcze większa ciżba i tu słuchamy spowiedzi do 3—4 godziny zwykle, a często i do samego wieczora się przeciąga; wielkanocna komunia nie pozwala z każdym penitentem długo się bawić; dosyć uczyni kapłan, jeźli wtenczas każdego usposobi i przygotuje do Sakramentalnéj łaski. Więc spowiednik nie chcący temi stereotypowemi i machinalnemi pytaniami zbyć penitenta, lecz doprowadzić go, aby zadość uczynił warunkom pokuty św., nie znajdzie wiele czasu dla długich nauk, i napracuje się, jeźli postara się o zupełną szczerą spowiedź, o żal i zadosyćuczynienie u penitenta, co jest koniecznie potrzebném, do czego téż jest ściśle zobowiązany. „Sistunt se quidem multi sacramenti poenitentiae ministris prorsus imparati, sed persaepe tamen hujusmodi, ut ex imparatis parati fieri possint, si modo sacerdos viscera indutus misericordiae Christi Jesu, qui non venit vocare justos, sed peccatores, sciat studiose, patienter et mansuete cum iis agere. Quodsi paestare praetermittat, profecto non magis ipse dicendus est paratus ad audiendum, quam ceteri ad confitendum accedere cf. kat. Rzymski... Longe a more periti medici, qui similiter infundit vinum et oleum vulneribus sauciati, distat eorum ratio, qui ut gravius aliquod audiunt peccatum, aut aliquem sentiunt multiplici peccatorum genere infectum, statim pronuntiant, se non posse absolvere: iis nempe ipsis mederi recusant, quibus maxime curandis ab eo sunt constituti, qui ait: non opus est valentibus medicus, sed male habentibus.“ Tak pisze Papież Leon XII. w swéj bulli jubileuszowéj (Charitate Christi 25 Decemb. 1825). Daléj mówi o tych, co tylko powierzchownie, bez przygotowania się spowiadają i obowiązuje sub gravi spowiedników, aby penitentów takich nie odsyłano, by się sami dobrze przygotowali. „Sed neque, pisze tenże Papież, cum non absolutum sine gravi causa dimittere potest, quia causa sacramentalis jam coepta est; quare et ipsi poenitenti onerosum et sacramento indecens est, si non perficiatur, cum commode perfici possit.“ Benedykt XIV. Scavini § 19. „Niechże pamiętają na to spowiednicy, że nie dopełniają swego obowiązku i ciężkiego grzechu stają się winnymi, którzy nie zadają sobie pracy przy dysponowaniu penitentów, nie mają ojcowskiéj litości miłosiernego Samarytana, nie wlewają oleju i balsamu w rany chorego.“

IV.

Zbadawszy tak sumienie penitenta, wniknąwszy aż do wnętrza jego duszy, spowiednik wydaje wyrok na mocy udzielonéj nam od Chrystusa P. władzy. Pamiętać tu tylko winien kapłan sprawujący ten sakrament św., że wyrok ten nie powinien zależeć od kaprysów i dobrego lub złego usposobienia spowiednika, ani opierać się tylko na własnych zasadach; niech nie zapomni, że sąd boży wykonuje, że w zastępstwie Boga rozsądzać ma, czy otworzyć niebo grzesznikowi czy zamknąć. Prawda, że spowiednik ma władzę dać rozgrzeszenie lub nie dać, że podług swego przekonania rozdzielać ma tę łaskę, tak jak kto zasługuje, jak interes penitenta wymaga; jednakże władza ta arbitralna, bo i tu ciężko grzeszyć mogą spowiednicy, bądź swą surowością, bądź swą pobłażliwością i nie rzadko może zdarzają się takie grzechy. Chcąc sprawiedliwie osądzić w trybunale pokuty św. trzeba przedewszystkiem u Boga uprosić sobie roztropności i przytomności umysłu, trzeba nabyć miłości ku grzesznikom, litować, nie mścić się nad ich nieszczęściem, trzeba

być gorliwym w nawracaniu grzeszników, a gorliwość swą kierować zasadami nie swemi, ale kościelnemi, trzeba według skazówek mężów doświadczonych w nawracaniu grzeszników postępować. Nieroztropną i niesprawiedliwą nazwałbym gorliwością pochopność do zatrzymania rozgrzeszenia; nie trzeba się tu lękać o grzeszną pobłażliwość, bo lepiéj, mówi św. Chryzostom sprawiać się przed Bogiem o zbytnią pobłażliwość, jak o zbytnią surowość. Penitent mający nawet ciężkie grzechy ma prawo od nas żądać rozgrzeszenia, jeźli nie znajdujemy *pozytywnych* dowodów o braku skruchy i poprawy, i spowiednik pod grzechem śmiertelnym jest obowiązany rozgrzeszyć penitenta, który się dobrze wyspowiadał i oświadczył swój żal i postanowienie poprawy, i to są zwyczajne dowody żalu. „Jeźli spowiednik wysłuchawszy spowiedzi, mówi katech. Rzym. widział to, że uczynił jaką taką pilność w wyliczaniu grzechów swych i ma jaką taką żałość za grzechy, może go rozgrzeszyć.“ Św. Lig. (lib 6. 461.) przytoczywszy te słowa kat. Rzymskiego „Ergo semper ac confessario positive non innotescit, poenitenti *omnino* defuisse dolorem, ipsum absolvere potest.“

Chodzi tu tylko o sąd i pewność, jakiéj potrzeba do osądzenia penitenta. Gury II. 624. „non requiritur certitudo *absoluta*, nec certitudo moralis *stricta*,“ lecz „sufficit judicium prudens seu innixum motivo gravi et comparative probabiliori, licet adsit fundata aliqua de indispositione suspicio.“ Ligori zaś l. l. powiada wyraźnie, że nie potrzebna certitudo, lecz probabilitas: „sufficit quod confessarius habeat prudentem *probabilitatem* de dispositione poenitentis, alias vix ullus posset absolvi, dum quaecunque signa poenitentium non praestant nisi probabilitatem dispositionis.“ — Dostatecznym tedy dowodem skruchy jest, gdy grzesznik szczerze się wyspowiada, oświadcza swój żal, przyobiecuje poprawę i chętnie przyjmuje naznaczoną pokutę i spowiednik ma obowiązek wierzyć penitentowi. Stąd Gury II. 621 mówi: „Absolutio concedi debet *ex justitia* et *sub gravi* omni poenitenti rite confesso et disposito.“

Najmniejszéj nie ma wątpliwości o godném usposobieniu penitenta, jeźli tenże choć jeden daje nadzwyczajny dowód swéj skruchy jak np. 1) gdy dobrowolnie z własnéj woli tylko, aby się wyspowiadać, przychodzi do spowiedzi; 2) gdy przychodzi w skutek nauki lub kazania, jakie słyszał 3); gdy się spowiada już przed kilka laty zaniedbując spowiedź, lub gdy wyznaje grzechy dotychczas zatajane 4); gdy już przed spowiedzią starał się grzechu uchronić i dla tego pilnie przestrzegał rad spowiednika, odmawiał więcéj modlitw, pościł 5); gdy przed spowiedzią dłuższy czas nie grzeszył, albo po ostatniéj spowiedzi przez niejakiś czas utrzymał się od grzechu, czego dawniéj nie czynił, i teraz upadł dla wielkich pokus. „Quoties poenitens, (Ligu. ibid) affert signa extraordinaria doloris, tollitur suspicio illa de dispotitione et tunc confessarius prudenter judicare poterit suum prenitentem esse satis dispositum.“ Zob. Rozprawę: De absolutione recidivistarum w *Tygodniku katolickim* z 1868. U recydywistów zwykle są takie objawy nadzwyczajne skruchy potrzebne.

(Dokończenie nastąpi.)

KORESPONDENCYE.

(π) **Rzym** *1. września.*

Kończyłem przeszły mój list wiadomością o manifestacyi antireligijnéj, jaką rewolucya chciała protestować przeciw ludowemu zapałowi, który panował z powodu dojścia Ojca św. do lat Piotrowych. Nie na tém się jednak miało ukończyć; list mój jeszcze nie był w skrzynie pocztowéj, gdy nowa, a z góry widocznie ułożona manifestacya na seryo zaniepokoiła miasto, przybierając większe rozmiary. W kościele dominikańskim *Sancta Maria della Minerva* odbyło się triduum na intencyą Papieża i odwrócenia klęsk od całego świata katolickiego, lud się spokojnie modlił, Ojciec Tomasi przemawiał, nie dotykając w niczém kwestyi politycznych, gdy obszerny plac i okoliczne ulice zapełniać się poczęły dobrze znanymi agitatorami. Rząd musiał być przestrzeżony, gdyż powołał pod broń gwardyę narodową, musiał bardziéj obawiać się o własne bezpieczeństwo niżeli kościoła i zebranych w nim wiernych, gdyż miał przygotowane w koszarach wojsko regularne, i gdy manifestacya stawała się głośniejszą, wystąpiły na ulice i oddziały stojącéj w Rzymie piechoty. Rozproszono agitatorów z placu Minerwy, ale gdy policya przyaresztowała naczelnika ich *Tognettiego*, brata pamiętnego rewolucyonisty, co wspólnie z Montim wysadził w powietrze koszary *Seristori* i dwadzieścia biednych ludzi pozbawił życia, cała falanga przez *Corso* udała się przy zwykłych okrzykach do klasztoru San Silvestro, w którym dzisiaj mieści się zarząd kwestury, żądając głośno wypuszczenia uwięzionych. Tu gwardya znowu wystąpiła, a gdy odezwały się okrzyki *a basso la consorterio*, podobno *morti al re* uderzono na tłum uliczny, policya z rewolwerów dała ognia, kilkanaście osób raniła, kilkanaście innych aresztowała i porządek na placu przywrócono, ale zauważano, że popiersie Wiktora Emanuela zostało rozbite i manifestacya z antireligijnéj zmieniła się na polityczną, w ostatniéj chwili przeciw rządowi wymierzoną. — W tym samym momencie na różnych punktach miasta inne podobne odbywały się sceny, na *Via Frattino* wystrzałem z karabinu zabity został kucharz jakiéjś restauracyi, kilku ludzi mocno rannych pałaszami, a wieczorem jakkolwiek spokój w mieście panował, to ulice przedstawiały niezwykły widok, w mieście znać było zaburzenie a liczne patrole całą noc przebiegały dużemi oddziałami.

Nazajutrz od rana gwardya narodowa piesza i konna zebrała się na placach, ale gdy wieczorem schodzić się poczęli wierni do kościoła della Minerva na dalszy ciąg trzydniowego nabożeństwa, te same ukazały się tłumy na placu, wojsko znowu wystąpiło i powtórzyły się sceny dnia poprzedniego. Nie potrzebuję dodawać, że chociaż rozpraszano rewolucyjnych agitatorów i ośmielono się nawet aresztować z nich kilku, to nie przeszkodzono napastować bezbronnych księży, rzucać obelgi na wychodzących z kościoła i zapełniać miasto krzykami zupełnie piekielnemi, tak bluźniącemi Bogu i jego Świętym. Rząd wprawdzie wystąpił tą razą trochę energiczniéj, ale to czuł, że sam był zagrożony, przewidywał, że jeżeli pozwoli znieważyć Kościół, to niezadługo sam tego dotkliwe poczuje skutki. Być może, że na czas jakiś ulice Rzymu spokojniejszą nieco przybierą postać, że manifestacye na pewien okres ustaną, ale można być przekonanym, że wchodzimy w nową epokę i partya ruchu praktycznie siły swoje obrachowywuje, nie śmiało, ale pierwsze już kroki stawia. Można się było spodziewać, że dzienniki rewolucyjne całą winę rzucą na Watykan, jezuitów i katolicyzm, ale tą razą nie nasze odpowiadały im gazety, wszystkie organa ministeryalne z całego półwyspu potępiły głośno manifestacye. *La Nazione, il Giornale di Napoli, la Gazzetta del Popolo, Italia Nuova, la Gazzetta d'Italia, la Nuova Roma* i wiele innych zabranych od rządu na jedną nutę śpiewają, nie pomne, że tyle razy podobne manifestacye pochwalały, tłumy liczne zachęcały i jeżeli nie wprost to pośrednio są przyczyną dzisiejszych wypadków. *La Concordia* rzuca winę na rząd, iż dozwolił po dwudziestym wrześniu zapełnić stolicę tysiącami włóczęgów, całą armią utworzyć rewolucyjną. Myli się *Concordia.* Wina nie leży w słabości rządu, ale w istnieniu tego rządu w Rzymie papiezkim. Na pochyłości zatrzymać się nie można; kto wdarł się przez *porta pia*, darmo się kusi brać w swą opiekę kościoły; kto pogwałcił prawo boże i ludzkie, ten się sprzeciwiać prześladowaniom wiary nie może, kto na czele rewolucyi zajął miasto wieczne, ten jéj powstrzymać w swym biegu nie potrafi. — Gdyby nawet potrafił, czyby mu katolicy mogli zaufać, a najuroczystszemu zaręczeniu wie-

rzyć? Pod Aspromonte więziono Garibaldego, pod Mentaną, wspierano go sekretnie, Lanza w lipcu zaprzysięgał w parlamencie, że Rzym może być wcielony jedynie środkami moralnemi, we wrześniu wysyłał jenerała Cadornę na czele pięćdziesięciu tysięcy wojska dla bombardowania wiecznego miasta, parlament zwołuje i uświęca prawo o rękojmiach dla Stolicy Świętéj, a Papież zawsze więźniem w Watykanie, prześladowanie wiary na ulicach, katolicy spokojnie modlić się nawet nie mogą po kościołach. — Dzieje jedności włoskiéj są całe tego rodzaju, bo utworzyło je nie poczucie narodowe, ani potrzeba, ale stworzyły tajne towarzystwa, dla swych dalszych celów. Sławny *Petrucelli della Gatina* pisał przecie niedawno, że „jedność włoska jest wcieleniem się rewolucyi.“

I dziś nikt jeszcze nie jest pewny, jaki ostatni powód niezwykłego wystąpienia rządu, ale domyślać się wolno, że postanowienie nie wyrodziło się samo w łonie ministeryum, ale było wymuszone przez obawę wywołania protestacyi, jeżeli nie ze strony rządów katolickich, bo tych już nie ma w Europie, to ze strony ludów katolickich, które z dniem każdym zaczynają silniéj ważyć, nawet na szali stósunków międzynarodowych. Nie tylko rzymskie dzienniki, ale nawet cała prasa włoska rewolucyjna z widocznym niepokojem wspomina o nocie kilku ambasadorów przy Stolicy Apostolskiéj, dopominającéj się od rządu włoskiego opieki dla prześladowanych mieszkańców i przywrócenia choć zewnętrznego na ulicy spokoju i porządku. Nie można dziś jeszcze nic pewnego o tym dokumencie powiedzieć, ale żaden dziennik urzędowy wieści téj nie zaprzeczył, a organa ministeryalne choć oględnie, wspominają o nim jednakże. — Rząd więc, jak to często mu się zdarzało, opuszcza dziś dotychczasowych swych przyjaciół, wojskiem rozpędza tłumy, które sam sprowadził, występuje przeciw ludziom, których opłacał i dziś potępia tych, co pod jego opieką tak długi czas swobodnie konspirowali. Rewolucyoniści przynajmniéj loiczni, wiedzą czego chcą, prostą drogą dążą do celu, dzisiaj dość silni, by się z nim nie kryć; rząd rewolucyi schlebiał, do swych widoków używał, przeciw wierze i Kościołowi popierał, na jéj barkach Rzym zajął, a dzisiaj swych towarzyszy i spólników bagnetami na pół drogi usiłuje zatrzymać. Praca to niepodobna dla tych, co podstaw prawdziwych społeczeństwa nie mają, a gmach swój budują na rewolucyjném trzęsawisku; czasy pół środków minęły, albo się wierzy w Kościół Chrystusowy i stoi silnie przy jego Głowie, albo się trzeba zapisać na członka „Internationale.“

Dwa zaledwie ubiegły miesiące od jubileuszu papiezkiego, a jaki krok ogromny naprzód uczyniła w Rzymie rewolucya. 16. czerwca spokojnie odbywały się uroczystości, napastowano jak zwykle po ulicach pojedyńcze osoby, ale nie przerywano nabożeństw w kościele, tolerowano przynajmniéj katolików. 23. sierpnia już nie wolno się modlić za Ojca św., już nietylko żądają śmierci papieża, jezuitów i księży, ale i króla i ministrów; przeciw tłumom ulicznym policya występować musi, a rząd nie bardzo polega na gwardyi narodowéj, kiedy zgromadza wojsko regularne i pułki w koszarach, jak podczas oblężenia, na stopie wojennéj, czekają rozkazów do marszu. 24. sierpnia pierwsze padły strzały, a wszystko daje się domyślać, że nie będą ostatnie, większe lub mniejsze manifestacye powtarzają się codziennie; być może, że partya ruchu nie czuje się dosyć jeszcze silną, ale nie mniéj w ukryciu pracuje i prędzéj czy poźniéj groźniéj niżeli dzisiaj wystąpi. Podczas ostatnich zaburzeń często słyszano okrzyki: „niech żyje Petrol,“ a *Gazetta d'Italia,* organ pół urzędowy, donosi, że w Rzymie porobiono w ukryciu wielkie zapasy nafty i różnych materyałów palnych, na lepszą przyszłość zapewne, na sposobniejszą od dzisiejszéj chwilę. *Opinione,* organ ministeryalny, kilka artykułów zamieszcza o *Internationale*, i w przerażeniu przyznaje, że straszne to stowarzyszenie rozszerza się raptownie we Włoszech, a w ostatnich miesiącach ogromne przybrało rozmiary. Urządzono w Neapolu i Florencyi rewizye, które nic naturalnie nie wykryły, bo niby nie było nadzwyczajnego, gdyby urzędnicy policyjni sami byli towarzyszami poszukiwanych, kiedy we Francyi w ministerstwie dzisiejszém zasiada jeden z pierwszych stowarzyszenia członków. Tymczasem w Rzymie publicznie rozsyłają pocztą programat odrębnego stowarzyszenia dla stolicy i miast królestwa włoskiego, które ma nosić nazwisko *Societa Alfieri.* Głównym jego celem, (jak sam donosi), jest prześladowanie katolicyzmu; członkowie mają się szczególniéj werbować między złymi księżmi, między innowiercami, by większą wzbudzać nienawiść dla Kościoła Chrystusa Pana, a pierwszym działaniem, spalenie Watykanu i hostyi pańskich, wypędzenie lub zabicie papieża, odjęcie prac obywatelskich duchownym, a w razie wojny rzeź ogólna, powtórzenie nieszporów sycylijskich, na wszystkich co się nie wyprą katolicyzmu. — Każdy może być zapisany, wpis miesięczny członków czynnych wynosi franka, każde miasto będzie miało swoje koło z prezesem, które powinno w nieustannych zostawać stosunkach z głównym punktem obrad w Rzymie.

Mam przed sobą niby drukowany plan, a raczéj statuta stowarzyszenia Alfieri, składające się z 10 paragrafów, których jedynie podaję streszczenie. Przed kilku miesiącami okropność rządów komuny wzbudzała powszechne oburzenie; zdawało się, że szał chwilowy opanował mieszkańców Paryża; tymczasem dziś jedno już widać, że w pracach podziemnych dawno obmyślony system ogólnego, nieubłaganego niszczenia na wszystkich punktach kuli ziemskiéj, wchodzi powoli w wykonanie. W Neapolu, Florencyi odgrywają komedyą, czyniąc pewien rodzaj rewizyi w biurach Internationale, która się nawet nie potrzebuje maskować we Włoszech, a w Rzymie tymczasem komitet Alfieri spokojnie, bezpiecznie, prawie pod opieką rządu, rozrzuca po mieście swoje statuta, obiecując z zimną krwią, z pewną nawet skromnością zniszczyć katolicyzm, spalić jak najwięcéj kościołów, a głównie Watykan i uczynić ogólną rzeź w mieście. Gdy w myśli przyglądam wypadki kilku miesięcy ostatnich, zaciętą walkę przeciw Kościołowi Bożemu, prześladowanie w Rzymie, różne odezwy ostatniemi czasy tak częste, tajnych towarzystw, cały plan działania wypowiedziany w sławnych listach *Petrucelego della Gattina,* zatrważające wieści o przygotowywaniu palnych materyałów i te dzikie okrzyki: „niech żyje petrol,“ i szybki wzrost Internationale; pomimowolnie przychodzą mi na myśl niedawno wyrzeczone słowa Ojca św.: „Ludzie nie chcą dzisiaj uwierzyć w piekło, to im Pan Bóg pokaże jeszcze piekło niedługo na ziemi.“

Przemowa Ojca św.

Prezes Stowarzyszenia katolickiéj młodzieży włoskiéj, jako też różni delegaci katolickich Stowarzyszeń, wręczyli 23. z. m. Ojcu świętemu adresy z życzeniami.

Papież przeczytawszy je, w te słowa przemówił:

„Bóg jest, który poniża i wywyższa. Jestem właśnie w tém położeniu; na mnie także sprawdza się ono przedziwne zrządzenie Opatrzności. Nasze i świętéj Stolicy sprawy możnaby porównać z onym człowiekiem, o którym Chrystus Pan podobieństwo powiedział: „Człowiek niektóry zstępował z Jeruzalem do Jerycho i wpadł między zbójców, którzy go złupili, i na wpół umarłego zosta-

wili.“ Takie jest nasze obecne położenie; nie będziemy się żalić na tych, którzy nas za zrządzeniem bozkiém złupili, i którzy *tormentis bellicis* i *publicis mendaciis* miasto to zabrali. Ani temu się nie dziwimy, że Bóg chciał nam dać poznać przez to wielkość swojéj dobroci i swego miłosierdzia, aby nam potém wielkość swéj wszechmocności pokazać.

„Przyszedł miłosierny Samarytan, opatrzył rany jego, zapłacił gospodarzowi, aby go przyjął i pielęgnował i dawne zdrowie mu wrócił. Panowie! Samarytanin, który serca milionów porusza, nie od dzisiaj rozdaje on dary, pragnienia serca, ducha i umysłu umacnia, święte zasady, któreby nieszczęsna rewolucya była całkiém wywróciła, podtrzymuje. Jaka to pociecha czytać, że tylu młodzieńców od 20—25 roku lub mężów w kwiecie wieku należy do Stowarzyszeń w tak ciężkich i niebezpiecznych czasach i z modlitwą na ustach poświęcają swe życie, aby w nieskazitelności święte *depositum* wiary, miłości chrześciańskiéj i nadziei na lepszą przyszłość zachować! Wysławiajmy i chwalmy Opatrzność Bożą, i krzepmy się nadzieją, że nam przeznaczono ujrzeć w całéj pełni wielkość wszechmocności Bożéj.

„Zawsze błogosławiłem z całego serca wybraną garstkę synów Jego, dziś jednak z tą większą miłością ją błogosławię, a z nią i nieobecnych tutaj, jéj przyjaciół i rodzinę, ojczyznę i gorliwych jéj Pasterzów, jako też i wszystkich tych, którzy w tém mieście i na całéj kuli ziemskiéj gorące modły dawniéj i teraz w kościołach przed tron Boga zasyłają, ale osobno jeszcze i tych, którzy w świątyni Najśw. Maryi Panny większéj to czynią.“

Projekt Założenia Kongregacyi Pastoralnych.

Od najdawniejszych czasów największém zadaniem biskupów było, aby w swych dyecezyach mieć duchowieństwo światłe i pobożne. Nie mniéj i naszemu Najprzew. Arcypasterzowi na sercu ta troska leży; i widzimy, jak jego wszystkie prace i trudy — jego pieczołowitość około seminaryów, jego wizyty pasterskie, które z tylu przykrościami połączone podejmuje, nie do czego innego zmierzają, tylko, aby duchowieństwo swe postawić na odpowiedniem stanowisku jego godności i powołania, zwłaszcza w dzisiejszych czasach i stósunkach, gdzie ogólny zamęt panuje w pojmowaniu i zapatrywaniu się na nasze obowiązki i powinności. Nie masz przecież nic piękniejszego, jak gdy duchowieństwo zgodne z swym naczelnikiem pracuje nad zbawieniem bliźnich. Dla tego też powołanie nasze wymaga, abyśmy nie zamykali się przed światem i oderwali się zupełnie od tego powszedniego życia, i pracowali, jakby to sobie niektórzy życzyli, ale na szkodę naszéj wiary, któréj my jesteśmy stróżami, tylko w konfessyonale i na ambonie, i tylko w kościele występowali jako księża, bo niektórzy uważają nas tylko za urzędników kościelnych do prowadzenia statystyki ludności; — nie, my mamy na rynkach, że się tak wyrażę i na ulicach życia ludzkiego również pracować i czuwać nad zbawieniem ludzi.

Jakże często wszakże dzieje się, że wśród świata żyjąc, zamiast być jego kierownikami, dajemy się porwać prądowi świata, z początku opieramy się, powoli naginamy się do jego zwyczajów i nabywamy ducha świata. I nic też dziwnego, bo przy przyjęciu kapłańskiéj godności, ludzkiéj natury wraz z jéj słabościami i ułomnościami nie zrzucamy jak szaty z siebie, lecz wszędzie nędza przyrodzenia nam towarzyszy. Tym sposobem nietrudno sobie wytłómaczyć możemy, czemu tak łatwo i niespostrzeżenie duch świata pod suknię duchowną się wkrada, iż kapłańska gorliwość wyniesiona ze seminaryum stygnie, a świat i jego zwyczaje biorą górę. A przecież jaka to szkoda! Szkoda wielka dla samych kapłanów, których zbawienie tym sposobem narażone na niebezpieczeństwo — wielka szkoda dla ludzi, którym ubywa, umniejsza się zbawienny wpływ kapłanów.

Z tych starań biskupów w biegu lat utworzyły się na koncyliach prowincyonalnych, na synodach i kongregacyach dyecezalnych, Kodeksa praw i zbawiennych rad dla duchownych, znane pod nazwiskiem przepisów kanonicznych, de vita et honestate clericorum, jak są zawarte w Corpus juris canonici, i innych zbraniach i dokumentach, a są one dla świeckich duchownych tém, czém jest reguła dla zakonników. I bez wątpienia, duchowni łatwiéj utrzymają ducha kapłańskiego, jeżeli w tych przepisach będą szukali zawsze wskazówki do życia swego, i pójdą drogą, jaką te przepisy kanoniczne wskazują.

Ale jakże przyjść do tego, aby duchowieństwo te przepisy ile możności wypełniało — żeby było przejęte jednym duchem, tworzyło jednę nierozdzielną całość?

Założyciele zakonów uważali za najlepszy środek życie wspólne, vita communis, i byli przekonani, iż bez tego vita communis i spiritus communis nie będzie silnym i trwałym. Bo życie wspólne, uregulowane pewnymi i stałymi przepisami, wspierane nadto wspólném pożyciem, podtrzymywane wzajemnym przykładem, ożywiane braterskiem upomnieniem i zachętą, kwitnie i rozrasta się swobodnie na korzyść członków zakonu. Ale kapłan samotny, mieszkający nieraz w odludnéj wiosce, gdzie nie ma z kim żyć, wystawiony na ciągłą samotność, na ileż rozmaitych pokus i niebezpieczeństw narażony, bo w świecie żyć musi, a samotny może nie potrafi się oprzeć przeciwnościom, bo i Pismo święte mówi: „Melius est duos esse simul quam unum, habent enim emolumentum societatis suae. Si unus ceciderit, ab altero fulcietur. Vae soli, quia, cum ceciderit non habet sublevantem se. Et si quispiam praevaluerit contra unum, duo resistunt ei; funiculus triplex difficile rumpitur.“ (Eccl. 4, 9—12.) Lecz powołanie duchownych i ich obowiązki parafialne wymagają tego, aby kapłani zamieszkiwali około kościoła, i w parafii sobie powierzonéj jako pasterze przy owcach swych. Dla tego też kapłani najczęściéj zmuszeni są żyć samotnie i odosobnieni z małemi wyjątkami, gdzie więcéj księży się znajduje. Ale mimo tego naturalnego i z ich obowiązków wypływającego odosobnienia, mogą się moralnie łączyć ze sobą, i niejako wspólne życie moralnie między sobą prowadzić. Ażeby do tego znaleść sposób i środek, już w najdawniejszych czasach wielu biskupów, i Duchem św. natchnionych mężów do tego dążyło. Ztąd powstały kapituły i kollegiaty, bo już św. Augustyn vita communis założył między duchownymi i on dał pierwszy życiu wspólnemu początek. Nie mniéj i stara reguła biskupa Chrodeganga w VIII. stólecia, przypomina te dążności biskupów, także i wiele kongregacyi, które się po soborze Trydénckim potworzyły, szczególnie odznaczały się założona przez św. Karóla Boromeusza i Bartłomieja Holzhauzer (r. 1658.) Chociaż wiele z tych instytucyi z czasem, gdy się okoliczności zmieniły, zwłaszcza, gdy nastały opłakane dla kościoła czasy rewolucyi francuzkiéj i zaburzeń politycznych, w całéj Europie upadło, jednakże czasu swego wywierały one bardzo zbawienny wpływ. Dla tego też obecnie, gdy kościół począł używać więcéj swobody w rządzeniu sobą, zaraz gdy życie kościelne na nowo zakwitło, powstały na nowo kongregacye księży dekanalne, pastoralne: w Niemczech, we Francyi, w Anglii, a czytając literaturę kościelną z tych krajów, widzimy jak wielką i nieocenioną wartość mają, i jaką korzyść przynoszą kongregacye duchowieństwu i kościołowi. Bo każdy to przyznać musi, że kiedy świat cały postępuje w oświacie, duchowieństwo nie może zostać zacofane, lecz owszém przodować powinno, by występować przeciw błędom i fałszom, dla tego i nam za przykładem innych krajów łączyć się trzeba, by wspólnie się wspierając i oświecając, nieprzyjaciela wiary zwyciężyć.

W zakonach zmierza reguła głównie do uświęcenia samego siebie, przez wypełnianie rad ewangelicznych „tendere volunt ad perfectionem christianam per tria vota.“ Scav. Theol. Mor. Tom I. Do tego bardzo im pomaga odosobnienie, i wspólne pożycie, które jakżeśmy mówili, jest ogniskiem wszystkich cnót zakonnych. Cura animarum tylko pośrednio może być celem zakonów, i jest praca ich pod tym względem bardzo ograniczona i obrachowana, i dla tego więcéj niżeli nauka, rozmyślania i pobożność są kardynalną zasadą zakonników, które ich prowadzą do celu.

Zupełnie inaczéj ma się rzecz ze świeckim duchownym. Kapłani bowiem z woli Bożéj postawieni i powołani są do zbawienia i ratowania dusz innych, i dla tego téż jako liście na drzewie jedno różne od drugiego, tak téż różna i rozmaita jest czynność kapłanów świeckich. Od króla aż do żebraka, od najuczeńszego męża aż do prostaczka, ile to stopni, ile odcieni w usposobieniach, zapatrywaniach, a wszystkich lekarzem ma być kapłan! O jakież to ciężkie zadanie i jakże podołać temu obowiązkowi, jakim sposobem godnie odpowiedzieć, jakże dźwigać „onus angelicis humeris formidandum?" Ażeby odpowiedzieć swemu powołaniu, ażeby pasterstwo dusz sprawować z prawdziwém poświęceniem, jakiego wymaga od nas Bóg — „Omnis namque Pontifex ex hominibus assumptus pro hominibus constituitur in iis quae sunt ad Deum, ut offerat dona et sacrificia pro peccatis, qui condolere possit iis, qui ignorant et errant," (Hebr. V. 1—3.) — więc, by zadosyć uczynić swemu zadaniu i powołaniu, koniecznie pilnie powinien oddawać się ascetyce i nauce. Ascetyka i nauka, bez tego kapłan na żaden sposób obejść się nie może.

Ale czyż tak dobrze nie może się każdy i nauce oddać, powie niejeden, przeciwny memu wnioskowi, czy owszém nie mamy wielu uczonych, którzy chociaż odosobnieni, oddają się pilnie nauce? Przyznaję bardzo chętnie, że jest bardzo wielu takich co czas wolny od prac parafialnych poświęcają naukom i czytaniu, lecz zawiązawszy się w kongregacyą może znajdziemy jeszcze więcéj takich. Jużcić każdy przyzna, że całéj teologii św. w seminaryum się nie nauczył, że w téj nieskończonéj nauce wiele jeszcze ma do zgłębienia, do poznania, słowem, nikt nie zaprzeczy, że kapłanowi potrzebna jest ciągła nauka, bo mówi ks. biskup Cybichowski regens seminaryum gnieźnieńskiego w swéj nauce pastoralnéj: „Dość często spotkać się można ze zdaniem, że pasterzowi dusz obszerna nauka nie jest potrzebna, że główną jest rzeczą jego pobożność i życie cnotliwe. To zdanie jest przecież równie fałszywe jak to, które naukę nad pobożność wynosi; równie rozległéj nauki nie potrzebują wszyscy duchowni, bo różne są urzędy w kościele, ale wystarczającą powinien każdy posiadać." Przecież każdy pamięta słowa Ozeasza IV. 10 „Quia tu scientiam repulisti, repellam te, ne sacerdotio fungaris mihi," a tém więcéj do nauki nas pobudzają słowa Izajasza: „Speculatores ejus caeci omnes, nescierunt universi: canes muti non valentes latrare, videntes vana, dormientes et amantes somnia." (Is. LVI. 10.) Jeżeli więc każdy przyzna a przyznać musi, że potrzebna jest kapłanowi znajomość *dogmatyki*, aby mógł wyjaśniać naukę wiary i bronić ją od zarzutów, potrzebna znajomość *moralnéj*, by sobie i innym módz poradzić w trudnych przypadkach, potrzebna znajomość pisma św., aby umieć wyjaśnić trudne miejsca innym i ku własnemu zbudowaniu, to nie mniéj jest także potrzebna, zwłaszcza w dzisiejszych czasach znajomość filozofii i nauk przyrodniczych, które głównie podstawę naszéj wiary podkopują. A teraz niechże każdy zapyta samego siebie, czy rzeczywiście wyniosł ze seminaryum dokładne i gruntowne wiadomości w tychże naukach? A chociażby tak było, ileż to przez dłuższy czas uroniło się i poszło w zapomnienie z tych tak mozolnie nabytych wiadomości! Bo jakże się to powszechnie dzieje? Otóż wychodząc ze seminaryum wynosi się zapał i chęć do pracy, ale do pracy parafialnéj. Niejedno prawda niedoświadczonemu neopresbyterowi przychodzi trudno, dla tego szuka i szpera w książce, lecz powoli coraz rzadziéj do książki zagląda, a że znikąd nie ma także bodźca i zachęty, zdarzyć się może, że niezawodnie odwyka od pracy umysłowéj. Dla tego konieczną nam jest rzeczą zawiązać się w kółka, konferencye, któreby na celu miały wspólną naukę i oświecanie się w wiadomościach potrzebnych stanowi kapłańskiemu. Potrzebę tego także czytać można Scavini Theol. Mor. Tom I. De obligationibus Clericorum Nr. 461. 3. „Ut constantem studiis sacris operam impendat, ne errare contingat cum tanto ovium suarum detrimento. Item Congregationibus a Vicario foraneo indictis semper intersit atque in sua etiam Paroecia si quatuor saltem sint Sacerdotes eas teneat de rerum sacrarum studiis exercitationes. Istae enim mirifice inserviunt (si rite habeantur) ad mutuam in Domino charitatem fovendam, ad fervorem augendum, abusus tollendos et disciplinam incorrupte servandam, aedificationi populo sunt, ipsis Ecclesiasticis maximo profectui."

Chociaż więc już z kilku młodszymi duchownymi w dekanacie Pleszewskim o mym zamiarze mówiłem, i wszyscy jak najchętniéj na to się zgadzali, pragnę jednakowoż tę myśl poddać pod rozwagę i innych konfratrów, a możeby za wspólną naradą i namysłem mogły stanąć konferencye w obudwu archidyecezyach. Proponowałbym więc, aby w każdym dekanacie choćby tylko 3 braci natchnionych gorliwością o naukę, zawiązało między sobą kółko, kongregacyą pastoralną. Te kongregacye odbywałyby posiedzenia swe co miesiąc na przemian u każdego. Po kolei każdy zobowiązałby się do piśmiennéj pracy, a przewodniczący w kongregacyi przeznaczałby okres tak z dogmatyki, moralnéj, historyi, prawa kanonicznego, jako téż mógłby podawać niektóre kwestye zawiłe do dyskusyi. Prócz tego rozważając potrzebę książek stósownych i potrzebnych do szerszéj nauki, a znów biedę wikaryuszy, którzy nie zawsze są w stanie zakupować sobie dzieła, kongregacya pojedyńcza obrałaby sobie bibliotekarza w dogodném miejscu, który ze składkowych pieniędzy zakupowałby książki teologiczne podług decyzyi kongregacyi. Naturalnie, że konfratres należący do kongregacyi staraliby się obowiązki swe wkongregacyi jak w parafii ściśle wypełniać. Kongregacya mogłaby przybrać sobie patrona lub patronkę, jak to się dzieje w innych dyecezyach. Nie określam bliżej statutów, lecz podajętylko zarys utworzenia kongregacyi — myśl ta nie moja, nie nowa, lecz wzięta ze wzoru innych krajów, których kongregacye pastoralne bardzo dawno istnieją. Dla tego wnoszę prośbę do konfratrów, aby tę myśl rozważyli i do *Tygodnika katolickiego* się zgłaszali, którym ta myśl się podoba. Zbyteczną mi się widzą rzeczą wykazywać korzyści, jakieby dla nas przyniosły te kongregacye. Każdy kto był na konferencyach nauczycieli, przekonał się, jak ważne są one dla stanu nauczycielskiego, a my będąc nauczycielami prawd wiecznych, potrzebujemy tém bardziéj wspólnie się naradzać, wspólnie oświecać. Gdy się częściéj dla porady, dla oświecenia ze sobą łączyć będziemy, będzie panować między nami zgoda i nie będzie podobnych roztererek, jakie w ostatnich czasach stały się zgorszeniem dla innych i nam zaszczytu nie przyniosły, bo takie sprawy wprzód na kongregacyi mogłyby się rozebrać, by zgodnie sobie postąpić. I rozprawy piśmienne użyteczne nieraz mogłyby zapełnić szpalty *Tygodnika katolickiego*, bo niejeden czy z Seminaryum wychodząc, czy też z Akademii powróciwszy, znalazłszy w kongregacyi takiéj zachętę do dalszéj pracy, stałby się użytecznym dla konfratrów. Gdyby ta sprawa nie miała obudzić interesu między konfratrami, wtenczas wspólnie z tymi, których już prywatnie się zapytywałem, i którzy jak najchętniéj myśl moją poparli, ułożylibyśmy ustawy, podając je Najprzewielebniejszem Arcypasterzowi do zatwierdzenia, który pewno naszemu przedsięwzięciu swego wysokiego zezwolenia i błogosławieństwa by nie odmówił.

Ks. Zygmunt Sypniewski.

[Podzielając myśl szan. autora, Red. *Tygod.* nie bierze na siebie odpowiedzialności za sposób i formę, w jakiéj jest przedstawiona, od czego zresztą zwalnia nas podpis nazwiska.]

Prasa — a zmitrężenie obecne.

(Dokończenie.)

Powszechne zmitrężenie przez prasę.

Postęp, postęp, a na każdém polu widać tylko stępienie i upadek. Przedewszystkiem natura okazuje się nieubłaganą przeciwniczką postępu, odmawiając ludzkości z każdym rokiem coraz więcéj sił fizycznych. Wzrost ludzi coraz się zmniejsza, długość życia się skraca, organa tępieją. Jak bardzo wzrok nasz osłabł, tego dowodzi porównanie płodów staréj szkoły malarskiéj z płodami nowoczesnemi. Starzy malarze np. Van Dyck malowali krajobrazy tak, jakby je przez powiększające szkła miano oglądać — nasi malują dla naszego oka grupy zlane. Ze słuchem tak samo. Śpiewaczki po operach zrywać muszą swe piersi, podnosić głos do niesłychanie wysokich tonów, aby ucho nasze zadowolnić. Nasz żołądek pragnie dziś samych wyszukanych potraw. Wszystko musi być korzenne, silne, przyprawione tęgiemi sosami — prosta strawa już nam nie służy. Tak samo stępiały i organa umysłowe. Dawniéj

zadawalniano się „Magazynami rozmaitości,“ pisemkami ku rozrywce, niewinnemi powiastkami. Jakże one wszystkie drobnemi nam się wydają, w porównaniu do naszych olbrzymich dzienników! Nie nauczono się z nich zbyt wiele, nie dowiedziano się z nich z pewnością, co Cesarz Brazylijski jada na śniadanie, lub kiedy wyjeżdża na przechadzkę, ale też za to nie ssano tyle trucizny z nich, co z dzisiejszych gazet. Acz one były skromne formą i treścią, trzymano i czytywano je wielce, czasami rozrywano je sobie w ręku. Sancta simplicitas! Któżby to z nas oświeconych i postępowych chciał dziś takie rzeczy czytać? Smak nasz znacznie postąpił w dzikości. Staroświeckie a niewinne zabawki, nie mają dla nas już żadnego powabu. Aby nas ubawić, zainteresować, trzeba wywlóczyć brudne postacie z lochów więziennych, trzeba szperać po aktach kryminalnych, trzeba uchylać kulis sceny, trzeba brać obrazy ze zaułków przedmiejskich i w jak najjaskrawszych kolorach malować to, co w interesie cnoty i moralności czytelnika nigdy nie powinno ujrzeć światła dziennego. Prasa też znając smak swéj publiczności, goni za takim tylko towarem. Co to za nieoceniony dla niéj połów, jaki skandal w teatrze, jakie kolosalne oszustwo na giełdzie, jaki spisek morderczy na dworze książąt, jakie grzeszne związki kończące się samobójstwem, pojedynkiem lub rozwodem! Baletniczki i kawiarki stają się tu bohatyrkami, zręczni złodzieje i mordercy postaciami historycznemi, wyuzdana chuć przezwana miłością — cnotą. Nie jeden zna lepiéj, dzięki dzisiéjszéj literaturze, życiorysy najgłówniéjszych morderców w świecie, niż życie świętych i zasłużonych mężów swego kraju. Czyż w taki sposób nie muszą stępieć najślachetniejsze uczucia, zdziczeć najlepsze popędy duszy naszéj? I to nazywamy postępem! Ten moralny upadek, ten smak gruby, ten prąd nawoczesny, kochający się tylko w brudach, ten duch czasu spodlony, podnoszący chucie niskie do cnót, nie mający słowa nagany dla upadłych kobiet za ich bezwstyd, dla wiarołomnych małżonek, za ich sromotę, dla wyrzutków społeczeństwa za ich czarne życie, ten moralny, mówimy, upadek, ma się zwać postępem nowoczesnym, a starodawna cnota, skromność, wstydliwość, obyczaj surowy zacofaniem i ciemnotą? O tempora, o mores! To jest pierwsza połowa ogólnego zmitrężenia przez prasę. Przejdźmy do drugiéj.

Dzienniki pozbawiają publiczność natężenia umysłowego i podają jéj gotowe myśli i sądy jak ciasta do ust. Możnaby prawie o większéj części czytelników gazet powiedzieć, że czują wprawdzie własnem sercem, ale cudzą głową myślą. W końcu obca głowa opanuje i serce. Wszyscy utrzymują o sobie, gotowi nawet przysiądz na to, że mają swoje zdania o rzeczy, a tymczasem w najlepsze powtarzają i przeżuwają tylko to, co im dzienniki doniosły. I to podejście wcale nie trudno przychodzi dziennikom. Oczywista, w sympatyczny ton trzeba umieć uderzyć — trzeba wiedzieć, że muchy łapią się na słodycze, myszy na słoninę a niedźwiedzie na miód. A jak to się rozumie i wie, to reszta już łatwa — wszystkie ślachetne i nieślachetne stworzenia same wnijdą w potrzask.

Dawniéj byli błazny, skoczki, kuglarze — lecz ci wszyscy sławetni przedsiębiórcy, przy swych błazeństwach, nie szkodzili wiele publiczności. Nie wymyślali nowéj religii, nie rozsiewali niebezpiecznych zasad, nie opowiadali o kryminalnych procesach, nie pisywali brudnych romansów, a jeśli czasem zgrabnie co skradli, to zawsze nie tyle szkodzili, co szkodzą zachwalane przez prasę akcyje, które potém nagle spadają i rujnują do szczętu łatwowiernych, albo zachwalany jaki towar fabryczny, na który się próżno tylko pieniądze wyrzuca. —

Może kto powie: oszukaństwa zawsze się działy. A i to dowodzi nie małego postępu, że dzienniki chcąc dziś podejść publiczność, daleko to delikatniéj i zręczniéj czynić muszą, aniżeli stare szarlatany. My temu przeczymy. Strawa dziennikarska jest tak samo pełna głupstw i niedorzeczności, jak dawniejsze mowy i wywoływania nliczne. Czemuż to dziś nie daje wiary nasze publikum? Wszelkie baśnie dawno zbite i wyśmiane, o Papieżu, o Jezuitach, o liczbie 13. o stołach wirujących, znajdują i dziś jak najlepszą wiarę u naszego wielce oświeconego publikusu. Jakaż tedy rożnica między dawniéjszą a dzisiejszą publicznością? Tamta nie wierzyła temu, co jéj szarlatani gwarzyli. Przysłuchiwała się dla zabawy i kupowała drobiazgi dla żartu. Dzisiejsza publiczność wierzy na ślepo dziennikom, choćby te najkapitalniejsze prawiły jéj głupstwa. Nasze społeczeństwo, mówcie co chcecie, mimo zachwalanego postępu spadło na nader niski stopień umysłowo, i straciło bodaj wszelki dowcip przyrodzony. Nieraz bierze się ono prawdziwie po dziecinnemu. Pokażmy to na przykładzie.

Nie słyszałże kiedy czytelnik o słodkich migdałach pana Rotschilda w Paryżu? Rzecz tak się miała. W Paryżu, gdzie bez wątpienia dzienników nie braknie i tym podobnych przezacnych pism, kazał w czasie lutowéj rewolucyi Pan Rothschild, który miarkował, jaki wiatr wieje, zakupić ogromne zapasy zboża w Ameryce, i sprzedawać je ludowi po zniżonych cenach. Ale los nie chciał, aby to, co z czystego strachu powstało, nosiło na sobie cechę dobroczynności. *National* pierwszy zaczyna oskarżać przed publicznością p. Rothschilda, że chleb swój mięsza z potem ludu. Byłby to niesmaczny, zaprawdę, chleb. Ale lud zniósł to jeszcze spokojnie. Inne dzienniki zaczęły coraz głośniéj wołać: miejcie się na baczności; jego chléb to nie chleb, to gips, to szkło tłuczone, to arszenik. Mieszkańcy Paryża poczęli już trochę szemrać. Nareście jakieś pismo puszcza pogłoskę, że szczodry pan baron zepsutą sprowadza mąkę za nader tanią cenę, i aby pokryć to oszustwo, każe do niéj mięszać słodkie migdały. Tego już było za wiele Paryżanom. Wszystko co żyło, rozsierdziło się straszliwie i najeżyło grzywy. Owa oświecona publiczność paryska nie wiedziała, że słodkie migdały trzy razy droższe są od mąki. Niech kto powie, że nasz wiek nie jest oświecony.

My mamy w rzeczy saméj prawdziwych mitręgów. Mitręga czy tam Filister, jak go Niemiec nazywa, przysięga na ten program, który chwilowo najpopularniejszy i najwygodniejszy. Trafiali oni się i dawniéj — dziś są powszechni. Dopomogła do rozmnożenia tego rodzaju ludzi prasa, odkąd poczęła odwoływać się do zdrowego rozsądku mas. Przez to upadek literatury i zdrowego rozsądku — literatury, bo sądy krytyczne stały się niemożebnemi; zdrowego rozsądku, bo go się wprzody na scenę powołuje, za nim go się wyrobi. Nowoczesny mitręga wie wszystko, zna wszystko, pojmuje wszystko, sądzi o wszystkiem, wydaje wyrok o wszystkiem, a od tego wyroku nie masz już apelacyi. Mitręga nasz ma niezłomne o swéj wszechwiedzy przekonanie, bo mu to mówią w oczy pisma, bo się na jego rozum wszystkiem powołują ciągle. Pokusa to zbyt wielka, aby jéj niemiał uwierzyć. Nic tedy dziwnego, że szewc albo krawiec, który nawet swego nazwiska bez błędu podpisać nie umie, przy kuflu piwa rozprawia o filozofii, głosi zdanie o ekonomii, odrzuca lub pochwala dogmata kościelne i ministrom daje nauki. Czy to nie prawdziwy postęp?

Skutki prasy dzisiejszéj są: głupota albo *delirium tremens* — filisterstwo albo czerwony radykalizm. Kto za wiele pije, dostaje *delirium tremens*, dzisiejsze pokolenie od zbytku drukowanego papieru dostaje także zawrotu głowy. Nawet poznaki tego *delirium* na jednéj i drugiéj stronie są te same. Wszyscy niém dotknięci widzą mnóstwo czarnych punktów przed oczyma. Pijaki mają te punkta za myszy, szczury albo czarty — zagorzali nasi politycy drobnego kalibru mają je za ultramontanów i Jezuitów. *Delirium tremens* koi się długim a spokojnym snem. Nasze chore społeczeństwo, niestety, nie może się przespać — dzienniki za wiele chałasu robią.

Wolność prasy.

Z Regensburga jedzie się godzinę drogi do Walhalli pod Donaustaufem. Z prawéj i lewéj strony traktu wybornego posadzone są małe drzewka grubości palca, które się widocznie mają z czasem rozrość w aleją. Przed 12 laty gdym tę drogą po pierwszy raz jechał, były już także podobne drzewka, tak samo grube i wysokie jak teraz, bo tu i owdzie były już grubsze i wyższe, stały na innych miejscach i miały inne nawet liście. Urzędnik administracyjny tego okręgu dokłada wszelkich starań, aby ten kawałek drogi, którym rok rocznie ze wszech stron świata tysiące podróżnych jeździ, ozdobić dachem z drzewek, lecz chłopi, do których przyległe grunta należą, nie dopuszczają wzrość żadnéj alei, bo się boją cieni dla swych

pól. Przez 10 lat na 20 tysięcy przeszło drzewek młodych tu ścięto.

Widzimy, że na téj drodze nie jakiś staryzabobon, ale nowoczesna zasada wolności panuje. Okręgowy urzędnik ma zupełną wolność, co rok 2000 świeżych drzewek sadzić, a chłopi przywłaszczają sobie wolność ścinać je. Ale cóż to? Spodziewam się, że nie mam do czynienia z przeciwnikiem wolności druku. Podobnie i na polu socialném trudziło się mnóstwo znamienitych ludzi przez całe wieki, aby cnotę, bojaźń pańską, wiarę i wierność zaszczepić, a teraz prasa te wspaniałe szczepy szyderczo wycina. Czemużby to nie miało być w porządku? Kto chce i może, ma przecież zupełną wolność nowe latorózgi zasadzić.

Prasa jest to rozmnożone słowo; i my także jesteśmy tego zdania, że każdy, co ma usta, już na mocy tego posiadania, ma prawo do mówienia. Pierwszy zamek na usta ukuto przed kilku laty w Niemczech, nie w Raju. Także i szybkie a stałe rozpowszechnienie słowa ma z wielu względów swoje dobre prawo. Kto w studnią wpadnie, dla tego zbawienną będzie rzeczą, skoro tak będzie krzyczał, iż go wielu ludzi usłyszy. Kto się w ręce rozbójników dostanie, ten oszczędzi krwi rozlewu a uratuje życie, jeśli w mgnieniu oka całą wieś będzie w stanie zaalarmować. Do Timesa pisać, mówią Anglicy, to ostatnia ucieczka uciśnionych. Kto na jaki piękny wpadł wynalazek, dobry spełni uczynek, jeśli go wspaniałomyślnie odda na dobro publiczne. Gdy kapłan ma kazanie, życzyć sobie tylko można, ażeby go świat cały słuchał. Ale jak się przedstawi ta rzecz w razie, gdy kto będzie chciał kłamać, obmawiać, oczerniać, prawdę zabijać, uwodzić? Czyż nie masz też rzeczy, którymby należało, któreby nawet powinny koniecznie pozostać w tajemnicy? Skoroć czujemy odrazę do hyjen, wygrzebujących trupy z grobów, czemuż nie gardzimy kolporterami, naruszającymi groby familijnych tajemnic? —

Słowo jest wolne; — aleć każda wolność na świecie winna mieć w poszanowaniu dwie granice: własny obowiązek i prawo drugich. Skoro te granice nie będą szanowane, wolność ludzka zamieni się w swywolę dzikich zwierząt.

Pierworodne słowo rewolucyi, najsłodsza z jéj swobód, jaką za każdą razą słodko uśmiechniętemi usty wygłasza, jest wolność prasy. Jest to przyrodzoném, niezbytém prawem człowieka, tak brzmi dobrze spamiętana formuła, myśleć i swe myśli wypowiadać czy to ustnie czy piśmiennie czy też drukiem, słowem wszelakim sposobem wyrażania się w szerszem lub ciaśniejszém kole, a każda forma szranków ogranicza tu godność człowieka i t. d. Któż razem z markizem Poza z takim samym zapałem i uniesieniem nie wołał: „Jaśnie Panie, daj wolność myśli,“ nie myśląc przytém w przybliżeniu nawet, jak wielką wypowiedział niedorzeczność. A jest śmiesznością mówić o wolności myśli. Myśl jako taka nie da się podciągnąć pod żadne ludzkie prawo jak i pod żaden ludzki przymus, ona nie ma żadnego innego Sędziego nad sobą, prócz tego, który serca i wnętrzności przenika, i o niéj nie może być wcale mowy w obrębie ludzkiej wolności. Na myśli nie masz cła, mówi przysłowie, i to jest daleko rozsądniéj lubo mniéj poprawnie powiedziane. Inaczéj się ma rzecz z wypowiedzianą myślą, ze słowem. To występuje ze świata wewnętrznego w świat zewnętrzny; myśl staje się słowem, a słowo ciałem. Wszystko zaś, co w społeczeństwie ludzkiem wywołuje skutki rozmyślne, musi się poddać porządkowi i podlegać prawu tak ostrzegającemu jak i karzącemu. Nie może na żaden sposób być dozwoloném mówić, co się komu podoba, boby też musiało być dozwoloném czynić, co się komu podoba; każdy bowiem uczynek pierwéj był myślą i przez myśl stał się dopiero skutecznym. Skoro zaś słowo pociąga za sobą skutki, to ono tém więcéj wywoła skutków wedle miary swego rozpowszechnienia, i pisane słowo będzie miało pierwszeństwo przed wypowiedzianém a drukowane przed pisaném pod względem skuteczności i pobudki do czynu.

Nie masz żadnego Bozkiego i żadnego ludzkiego przykazania, coby już przez słowo samo nie mogło być złamane, nawet i bez uczynku za niem idącego. Zaprzecza się Boga, bluźni się Jego Imieniowi, kradnie się bliźniemu sławę, mówi się fałszywe świadectwo za pomocą jednego jedynego słówka. Jedna z najzaciętszych walk, jakie hr. Bismark przed Królowym grodem wieść musiał z berlińską izbą, toczyła się około tego, czy posłowi wolno jest na mocy parlamentarnéj wolności słowa wszystko wypowiedzić, co mu ślina do ust przyniesie? Hr. Bismark miał przekonywającą mowę. Panowie żądają więc, iżby im wolno było bezkarnie popełniać wszystkie te przestępstwa, jakich się językiem dopuścić można? W sprawozdaniach z izb poselskich zanotowano po tych słowach „poruszenie;“ jednakże nie czytałem, aby ci liberalni bohatyrowie języka na postawione pytanie co odpowiedzieli. Tak więc Bismark pobił Austryaków pod Królowym grodem na głowę, a pruską izbę w Berlinie; czynności północnoniemieckiego parlamentu nie mogły już nadal przez prasę dowolnie być wyzyskiwane. W zasadzie bez wątpienia ma prawdę po sobie potężny hrabia. Jeszcze więcéj niż izby powinny dzienniki szanować bozkie i ludzkie prawo, a ustawy muszą tak osób jak i zasad bronić przed wybrykami prasy. Wolność prasy w tym sensie, w jakim pruska izba parlamentarną wolność mówienia pojmowała, byłaby bezrządem i barbarzyństwem. Dzienniki mają prawo mówienia, inni ludzie mają prawo nie być przez nich obrażanymi. Każde prawe napotyka na szranki na prawie drugich.

Już po wiele kroć brano w obronę nieograniczoną wolność prasy i biorą ją jeszcze. Ci sami, co wszelkim przywilejom i wyjątkom są przeciwni, domagają się dla prasy absolutnego wyjęcia z pod wszelkiego prawa. Prasa, mówią oni, może rzeczywiście prawa swego nadużyć, ale ona powinna być tylko przez prasę powściąganą, karconą i karaną. Ona sama nosi w sobie środki zaradcze, boć przecież można jéj napaści odeprzeć, jéj gmatwaniny wykryć, prawdę wykazać również przez prasę. Takiemi sofizmami wodzą ludzi za nos. W ten sam sposób musiał rozumować już Kommodus, Cesarz Rzymski. Pragnął być nazwanym Herkulesem Rzymskim i ubierał się w znany elegancki kostium tego półbożka. Z pałką w ręku przechadzał się po ulicach Rzymu, i gdy mu przyszło do głowy, gruchotał tym, których spotykał, nogi, poczém im rzucał sztukę złota, aby się dali znowu wyleczyć. Ten milutki tyran został ku wielkiemu pożytkowi ludzkości w wiliją nowego roku 192 zabity. Jego zasady wydobyła prasa ze zapomnienia ze stósownemi do okoliczności zmianami. Bo jeśli jaki dziennik dziś władzy, porządkowi publicznemu, wierze, obyczajowi, uczciwemu imieniowi bliźniego ręce i nogi potłucze, to nie daje on wprawdzie dukata na lekarstwo, ale pozwala wspaniałomyślnie tym, których to spotkało, dać się po innych dziennikach leczyć. Tak! takie to historyje oni robią!

Każda nieograniczona wolność jest prawem miecza, jest wojną wszystkich przeciw wszystkim. Mocniejszemu jest przyznaném prawo słabszego zgnieść, przez co tak wolność mocniejszego jest naruszona, bo mu dana moc siły swéj nadużywać, jak i wolność słabszego, bo się staje bezbronną ofiarą bezprawia. Już na mniéj potoczystém polu pracy nieograniczona wolność handlu wywołała socialną wojnę, i słabych depce żelazne stopa kapitału. A przecież tu wolność jest zawsze jeszcze nieco ograniczoną, gdyż wszędzie jeszcze pewne produkta podlegają nadzorowi policyjnemu. Nie wolno sprzedawać mięsa ze zwierząt niezdrowych, nie wolno wina zatruwać, nie wolno dowolnie złych domów stawiać. Sama tylko dziedzina zasad idei porzucona jest bez opieki. Prasa zaręcza ze świątobliwém oburzeniem, że prawo, obyczaj, religią bezpośrednio powieżyć można dobréj woli i zdrowym pojęciom publiczności t. j. gazeciarskich pismaków. A przecież uczą dzieje i doświadczenie, że nic na świecie nie ostoi się bez obrony ze strony prawa. Cóżby się stało ze sprawiedliwością bez sądownictwa? Socialnego pola podobnie jak roli nie można oddawać na łup złośliwości psotników. W cóżby się obróciły nasze kwitnące błonia, gdyby każdemu żakowi wolno było tamtędy przebiegać i przejeżdżać, zboża palić, źdźbła ścinać, bydło przeganiać i stróży poniewierać? Chłopi mieliby prawda zawsze jeszcze wtedy wolność, siać pszenicę i żyto; ale przewiduję, że kochany chleb wnetby rzadkim się stał na świecie. A pole moralności ma być porzucone na pastwę wszelkim niegodziwościom, wszelkim wybrykom! W imię wolności druku ma być wolno szydzić z religii, obyczaj kazić, moralność prasie zostawcie, a towarzystwo ludzkie zrzekło się przyszłości. Ludzkość ma prawo być rządzoną.

Chodzi więc o to, by prasie nałożyć wędzidło. Nie dziw, że się na to zżyma, ale to konieczne, tak dla naszego, jak i jéj saméj dobra. Widzimy, że rygle i zamki są potrzebne na świecie, aby złodzieje uczciwych ludzi nie napadali. Dla samych waryatów nader jest zbawienną rzeczą, że ich zamykają, iżby oknem nie wyskoczyli. I na prasę potrzebne są karby. Niektórzy sądzą dobrodusznie, że tu wystarczą same prawa karne. Skoro wykroczą, będą karane. Ale to wielka omyłka. Takim sposobem możnaby każdemu pozwolić nosić broń, a poprzestać na wywoływaniu od czasu do czasu, paragrafów kryminalnego kodexu, zawierających kary za uszkodzenia cielesne. Temu, któregoby jaki nikczemnik, lub pijany człowiek śmiertelnie ugodził, małoby doprawdy to pomogło!

Dotarliśmy do samego jądra sprawy. Wszystkie dotychczasowe próby obracały się dotąd około dwóch rzeczy: wolności prasy i cenzury. Cenzura byłaby dobrą, gdyby ją Aniołowie sprawowali, ale dopóki ona w ręku ludzi będzie, nie przestanie być nieznośnemi pętami. Znamy ją z lat dawniejszych. Wszystko szło pod topór, wszystko wskazane było na wieczną zagładę, cokolwiek sprzeciwiało się rozpanoszonéj biórokracyi. Wolno było Boga, kościół, cnotę, najuczciwszych ludzi lżyć, szarpać, obrzucać błotem, cenzura prześwietna na to słówka nie powiedziała, byleby tylko nie dotknąć uprzywilejowanych osób. Kto zaś chciał wystąpić z obroną sprawy świętéj, przepadł bez litości już przy pierwszym pulcie w biórze cenzury. Po takich smutnych doświadczeniach, gotowiśmy zgodzić się raczéj na nieograniczoną wolność prasy, aniżeli na taką cenzurę. Boć zawsze przecież jest chlubniéj ginąć we walce z bronią w ręku, niż się dać zarznąć ze związanemi rękoma jak nieme zwierzę.

Ale z drugiéj strony nieograniczona wolność prasy jest też niemożebną, nie podobną, dopóki ludzie żyć chcą w zgodzie, obok siebie. Zatém potrzeba koniecznie jakiegoś rozsądnego prawa. I mamy rzeczywiście w niektórych państwach niezłe prawa pod tym względem. Zkądże mimo to bierze się ta zaraza — jakim sposobem może prasa bezkarnie trząść tronem i ołtarzem, pomiatać powagą władzy, rzucać się na wszystko, co stanowi cześć i chwałę chrześciańskiéj oświaty? A, bo prawa są tylko martwą literą, i przedmiotem pośmiewiska, jeśli ich nie ma kto wykonać, i pilnować należycie. A komuż one to są oddane, w czyje ręce złożone? Nie sążże stróże tych praw sami zarażeni ogólnym duchem czasu, i usposobieni z góry w myśl naszéj prasy? Jakże im więc musi być trudno potępiać i zastósowywać całą surowość prawa do sprawy, któréj w gruncie sprzyjają! Anielskiéj by tu potrzeba było bezstronności. Obracamy się tedy w zaczarowanem kole. Niewiara rodzi złe szkoły, te rodzą złych urzędników i literatów, literaci rodzą złą prasę, a prasa rodzi znowu niewiarę. Ducha chrześciańskiego braknie naszemu społeczeństwu — w tém całe nieszczęście. Tego trzeba wpoić w społeczeństwo, a odrodzi się niechybnie. Wszelkie inne lekarstwa na naszą chorobę, będą tylko półśrodkami, ale że i te zdadzą się na coś, idźmy daléj.

Prawami samemi nie da się społeczeństwo w karbach utrzymać. Ustawy zakreślają tylko pewne granice — wśrod tych granic mogą być jeszcze tysiączne rzeczy, których prawa nie objęły i nie przeczuły. Cementem, który spaja społeczeństwo, jest wiara, jest obyczaj chrześciański, a te dwie rzeczy do państwa nie należą, chyba o tyle, że ich bronić i przechowywać je powinno. Społeczeństwo nasze choruje, — po ilekroć razy już to powiedzieliśmy — państwo może odeń oddalać szkodliwe wpływy, lecz uleczyć go nie potrafi, a najmniéj za pomocą paragrafów prawnych.

Potęga prasy jest bezwątpienia straszną, owładła ona już nawet i forum sędziowskie. Dziś oglądają się już sędziowie na prasę, i częstokroć wbrew własnemu przeświadczeniu, rozsądzają sprawy w myśl opinii publicznéj. Nie sąż najlepszym dowodem na to sądy przysięgłe? Alež jakżeby oni mieli być silniejsi od tych, w których imieniu wyroki wydają, to jest od swych monarchów? I królowie oglądają się przecież na prasę, i rachują się z tą potęgą. Toć oni z pierwszéj lepszéj sposobności skwapliwie korzystają, aby co prędzéj pozbyć się kłopotu i ułaskawić przestępców prasowych z więzienia, na które sobie jak najsprawiedliwiéj zasłużyli.

Daleko więcéj, niż nad tą sympatyą sądownictwa dla prassy trzeba ubolewać nad jego ślepem trzymaniem się litery prawa. Co nie podpada wprost pod literę prawa, to uchodzi płazem. Można wypowiedzieć jak najgorsze bluźnierstwo, jak największą złość, jak najniegodziwszą potwarz, trzeba się tylko umieć wyrazić, trzeba umieć zgrabnie obejść, a można być całkiem bezpiecznym. Gdy powiesz: król umrze przedemną, gotów cię sędzia pociągnąć do odpowiedzialności o jaki spisek na życie królewskie; gdy zaś powiesz: ja króla przeżyję, nikt cię za to nie będzie niepokoił, bo to nie podpada pod literę prawa. Litera prawa znaczy tu wszystko i rozstrzyga wszystko. Ztąd téż prasa, aby nie popaść karze, kusi się na różne wykręty i sadzi na dwuznaczne wyrażenia. I co za skutki z tego? zepsucie, kalectwo języka. Język, odkąd począł służyć wykrętom, igraszce słów, stracił swą jędrność, prostotę, siłę i jasność. Wykręt przecież zależy na zagmatwianiu i nieścisłości wyrażenia.

Potém drugi skutek jest ten, że nikt nie jest pewien swéj sławy. I najuczciwszy człowiek może być sponiewierany i zaczepiony przez prasę, jeśli tu tylko przebiegle umie się wziąść do tego, a przebiegłości któż jéj odmówi? Wszyscy wykształceni zgadzają się na to, że osobiste napaści i oszczerstwa są brudne. Uczciwi ludzie gardzą téż niemi: aleć my znamy zacięžnych pismaków prasy i ich stopień wykształcenia. Przed tymi wszyscy zacni ludzi powinni być zabezpieczonymi, ale nimi nie są. Sprostowania nie bywają przyjmowane, albo bywają obcięte i śmiesznie wystawione. Przy jakiéj takiéj baczności da się wszelka złość przeprowadzić bez narażenia się prawu prasowemu. Bogaty jaki człowiek może sobie jeszcze poradzić, ale jak się obroni jaki biedny kooperator albo jaka biedna chora za konnica téj jędzy prasowéj?

Kawaler może jeszcze pojedynkiem zatrzeć swą hańbę przynajmniej w oczach świata, ale sponiewierany kapłan czém zatrze to błoto, czém się obmyje ze zarzutów haniebnych, jakie nań wróg jaki skryty w dzienniku rzuci? Nie pozostaje mu nic innego jak cierpieć i milczeć, bo skarżyć, stawać przed szranki sądowe wobec korespondentów na galeryi, chciwych nowego łupu, nie byłożby to tém samém, co spaść z deszczu pod rynnę?

Tak więc prasa może sobie dokazywać, co jéj się podoba — może zetrzeć, zgnieść swą ofiarę na miazgę, z pewnością ujdzie jéj to bezkarnie. Z jednym tylko wybranym przedmiotem na świecie, z publikum, z pospólstwem, prasa nader grzecznie się obchodzi, bo nawet do stóp jego się ściele. Co gawiedź uliczna rozkaże, tego święcie prasa dokona. Ona uprzedzi jéj życzenia, będzie odgadywać jéj zachcianki, będzie schlebiać bez sromu wszelkim jéj brudnym chuciom. Tu całkiem przewrotny porządek. Prasa grozi ku górze, a służy na dole — do góry krytykuje, na dole pochlebia — do góry obraca ostrze, na dół grzbiet tępy. Kościół czyni całkiem inaczéj: prawi kazanie ku dołowi, a w górę się modli.

Ratunek.

„Lectio ultima brevis! Przyznaję się, żem rad, iż ta ostatnia lekcya ma prawo do krótkości. Nasze lekarstwa przeciw spustoszeniom prasy wszystkie razem nader są szczupłe. Środka radykalnego nie posiadamy wcale. Gdyby ks. kanonik Molitor w Spirze 50 milionami guldenów mógł natychmiast rozporządzać, gdyby niemi wszystkie istniejące czasopisma w Niemczech zakupił, personał redakcyi zachowawczo usposobił, katolicki nadał kierunek, w krótkim czasie te wszystkie nieomal czasopisma zeszczuplałyby, a nowe tytuły rozszerzałyby znowu stare tendencye w niezliczonych dziennikach. Gazety zaspokajają przecież tylko popyt. Poprawcie publikum a poprawicie i dzienniki, poprawcie szkoły a poprawicie i literatów; wyrwijcie korzenie zielska a wszystko kwicie uschnie samo przez się; ugaście ogień, a dym wnet się rozejdzie. Jużem raz powiedział: pisarze i publiczność nawzajem ściągają się w błoto.

Prasa nie jest wcale miejscowem złem, któreby można z organizmu społeczeństwa wyjąć jak nagniotek z palca. Kto w stanie ducha czasu naprawić z wszystkimi jego tysiącznymi czynnikami, ten będzie téż w stanie zmienić i ducha prasy; wszystko inne jest tylko mazaniną i łataniną. Można podpisywać akcye na dobrą prasę, można pilnie

pisywać korespondencye, można zyskiwać abonentów, można samemu dość abonować, to wszystko bardzo dobrze, bardzo pięknie i bardzo zbawiennie, lecz na takiéj miejscowéj uldze nic się nie zyska przeciw ogólnéj chorobie i jéj źródłom. Aleć chcą koniecznie ratować, natychmiast ratować! Tak, trzeba natychmiast ratować, lecz owoc zaledwo po upływie wieku się pokaże. W jednym dniu żadnego ludu, ba nawet żadnego miasta się nie zbuduje. Cudowne lekarstwa, co z dziś na jutro skutkują, tylko idealistom i szarlatanom są wiadome — ja nie wierzę w żadne uniwersalne pigułki.

Wszelkie środki zaradcze mogą ostatecznie ten mieć cel: wspierać oddziaływającą naturę. Samorodne leczenie się zwierząt polega na poście, ruchu i spoczynku; zapewne i przy naturalném leczeniu społeczeństwa trzeba będzie do takich uciec się środków. Post zasadzałby się na powstrzymywaniu się od trującéj lektury, ruch na zapobiegliwości wszystkich zacnych ludzi, a sen na troskliwém przechowywaniu i pielęgnowania rdzenia prostego życia w ludzie. Wtedy się pokaże, czy żywotne siły obecnego społeczeństwa dość są mocne, aby się raz jeszcze podźwignąć. Dotąd nie jest mi żaden naród w historyi znany, któryby, chory na przesyt oświaty i wyrafinowanie, został odrodzony. Non ex quovis ligno Mercurius. Nie naprózno Bóg dopuścił wszystkim Żydom wywiedzionym z Egiptu wymrzeć na puszczy; nie na próżno zjawiły się wędrowki ludów; greckiego i rzymskiego świata nie zdołał nawet świeży duch chrześciańśtwa uzdrowić.

Nasze nowoczesne towarzystwo stało się materialném; nie wiem, czy się znajdzie to cudowne słowo, za pomocą którego możnaby mu ducha znowu przywołać. W każdym razie każdy winien od siebie począć naprawę. Nigdy inaczéj nie bywało. Zwolna utworzy się potém świeży rdzeń równo myślących ludzi, i jeśli rola nie jest całkiem obumartą, to słoje co rok obłożą rdzeń i utworzy się cały las.

Powyższe uwagi są właściwie także już odpowiedzią na to pytanie: co czynić? Sądzę, żem dość jasno przyczyny upadku i różne praktyczne wskazówki naprawy wyłuszczył. W końcu dołożę tu jeszcze kilka krótkich uwag względem wspomnianego już leczenia naturalnego. Najpierwszą i najpotrzebniejszą rzeczą jest post. Jak około owego kapłana w Irlandyi tameczna ludność ze zapałem kupiła się tłumnie, aby ślubem wyrzeć się trunku, tak samo i ludność katolicka po wszystkich ziemiach powinna postawić sobie za wspólny cel wykorzenienie z grona swego téj wódczanéj literatury. Naszém pierwszém zadaniem nie jest rozszerzanie dobréj prasy, lecz wyparcie i wykorzenienie złéj. Żebyśmy tylko raz już mogli ocknąć się z naszego uśpienia; jeszcze prasa odgrywa rolę belki na żabim stawku. To nieprawda, iżby prasę tylko przez prasę zwalczyć można. Jak każda zbrodnia, tak i ona musi być powściągana przez sądy i morał. Jak mało mają odwagi sądy wsiąść jéj na grzbiet, jużeśmy widzieli, morał ani o włos nie robi lepiéj. Przed kilku laty (1866) skreśliłem moje zdanie w téj mierze w pewnym piśmie; trzeba je tu jeszcze raz przytoczyć. „Według zasad moralnéj należy nałogowemu grzesznikowi odmówić rozgrzeszenia, skoro nie chce unikać okazyi. Ta zasada moralna mogłaby być najsilniejszym klinem w pień prasy złéj. Człowiek co dnie i lata całe przestaje ze złem pismem jakiém, wyczytuje codziennie z niego najrozmaitsze bluźnierstwa, szyderstwa z wiary i kościoła, zasadzki na Ojca św., obelgi na duchowieństwo i religią, brudy w najbardziéj wyrachowanym rodzaju. Zgadza się na wszystko, przynajmniéj na najgłówniejsze rzeczy, dla tego przecież trzyma sobie to pismo. Grzesznik nałogowy np. in puncto sexto grzeszy materialnie, uznaje atoli ze wstydem i skruchą swe ułomności przed Bogiem; nasz zaś czytelnik gazet grzeszy formalnie, odpada od Boga i zapiera się wiary swojéj. Mimo to mało się będzie obawiał spowiedzi nasz gentleman. Czegóż chcecie? To uczciwy człowiek. Czytywanie dzienników nie jest grzechem. Mnie się zdaje, że niemały niedostatek czuć się daje w naszych moralnych i pastoralnych dziełach. Te zawsze jeszcze stoją na dawnéj stopie, nie przystają do naszych stosunków. Żaden spowiednik, w razie gdy mu się to zda potrzebném, nie omieszka badać in puncto sexti, restitutionis itd., dla czegóż nie daleko więcéj jeszcze in puncto gazety?" Ale to jeszcze nie stoi w naszych kompendiach. Jednakże musi raz jeszcze przyjść do tego, że tak samo wstydzić się będzie ten swéj złéj gazety, jak ten swych znajomości, które grzechom drogę torują.

Drugim środkiem jest ruch, ruchliwość. Spirituosa stały się już naszą potrzebą, i jeśli chcemy szkodliwe wyprzeć, to w ich miejsce musimy tymczasem jak najmniéj szkodliwe mieć pod ręką. Nadto dobre pisma w naszych stosunkach prasowych są niezbędnie potrzebne już dla saméj obrony kościoła, państwa i pojedyńczych osób. Ztąd owe gorące nawoływania i napominania Papieża i wielu Biskupów do popierania dobréj prasy. Korespondencye pisywać, trzymać, przysyłać ogłoszenia, kupować akcye. Polecać pisma w prywatném życiu, starać się je w miejsce złych wprowadzić itd. Nigdzie nie zbywa na zacnym człowieku, gdzie chodzi o spełnienie czegoś dobrego.

Trzeciém naturalném lekarstwem jest spoczynek. Gdzie się jeszcze nie pojawiła potrzeba czytywania gazet, tam jéj nie trzeba na żaden sposób budzić. Duch gazeciarski dobrym nie jest. Nawet i dobre pismo donosić musi o wypadkach bieżących, a nie jest przydatném i zbawienném dla uczciwéj duszy, przypatrywać się co dzień kłębom kłamstwa, gwałtów, zdrad, niesprawiedliwości i gałgaństwa, jakie treść ich stanowią. Są naturalnie położenia, gdzie gazeta jest niezbędną, ale o tém nie mówimy. Dla zwyczajnego mieszczanina i wieśniaka lepiéj nie mieć żadnéj, aniżeli nawet dobrą. Są przecież jeszcze inne gwiazdy, według których można się rozpoznawać w kwestyach czasu. Dzienniki są jak najmniéj gwiazdami stałemi; są one światełkami migotającemi, błędnemi ognikami, szklącemi łuskami i kometami.

Jeszcze wiele udzielano rad, jak dobréj prasie dopomódz. Znamy je dostatecznie, nie chcę ich powtarzać. O jednéj tylko wspomnę jako o curiosum. Powiedziano nam: duchowni powinni się cofnąć, i powinni się starać świeckich dla chrześciańskiéj prasy pozyskać. Że oświecony mitręga nie może znieść widoku kapłana, to jest rzeczą jasną; ale co ten projekt ma mieć za sens u czytelników pism katolickich? W końcu będzie bodaj charakter kapłański hańbą! Myślę sobie przecież, że dłonie, zęby, paznokcie i to, co w ogóle stanowi człowieka świeckiego, toś my też na świat ze sobą przynieśli; gdzież tedy są osobne przymioty świeckie? — I ja utrzymywałem, że ksiądz nie nadaje się do nowoczesnéj prasy, ale nie dla tego, iżby on za mało był dobry dla niéj, tylko że ona dla niego za mało jest dobrą.

Toć tedy skończyłem. Jeśli zaś ktoś koniecznie chcek wiedzieć jaki uniwersalny środek na prasę, — to mam jeden. Wróćcie Europie, wróćcie światu wiarę w Chrystusa — a wszystka nasza bieda się skończy.

Zniesienie zarządu spraw duchownych w Królestwie.

Na przedstawienie komitetu zarządzającego sprawami Królestwa, rząd rosyjski dekretem z dnia 23 lipca b. r. zniósł osobny zarząd dla „obcych wyznań" w Królestwie, wcielając go do ministerstwa spraw wewnętrznych w Petersburgu. Dokument ten brzmi jak następuje:

W wykonaniu najwyższego rozkazu zapadłego 5 marca 1871 roku o zamknięciu zarządu sprawami duchownemi obcych wyznań w Królestwie Polskiém minister spraw wewnętrznych wniósł przedstawienie do komitetu do spraw Królestwa o zwinięciu wspomnionego zarządu i ostateczném zlaniu takowego z departamentem spraw duchownych obcych wyznań ministerstwa spraw wewnętrznych.

Komitet ten po roztrząśnięciu pomienionego przedstawienia ministra spraw wewnętrznych uchwalił:

1. Istniejący w Warszawie duchowny zarząd wyznaniami obcemi w guberniach Królestwa Polskiego zwinąć.

2. Prowadzenie czynności, obecnie należących do tego zarządu, powierzyć ministerstwu spraw wewnętrznych w departamencie spraw duchownych obcych wyznań, z wyłączeniem spraw, poniżéj w punkcie czwartym wymienionych.

3. Również powierzyć ministerstwu spraw wewnętrznych rozporządzenie, drogą ustanowioną, wszystkiemi funduszami obecnie znajdującemi się w zawiadywaniu zarządu obcemi wyznaniami w guberniach Królestwu.

4. Zatwierdzenie na posadach dziekanów, przełożonych i administratorów rzymsko-katolickich parafii i klasztorów, regensów i sekretarzy konsystorzy, regensów i profesorów seminaryów i wizytatorów klasztorów w guberniach warszawskiéj, kaliskiéj, kieleckiéj, łomżyńskiéj, lubelskiéj, piotr-

kowskiéj, płockiéj, radomskiéj, suwałskiéj i siedleckiéj poruczyć głównemu naczelnikowi kraju z zastrzeżeniem, aby przedstawienia zwierzchności duchownych o zatwierdzenie osób na tych posadach wnoszone do głównego naczelnika kraju za pośrednictwem i opinią gubernatorów.

5. Warszawskie ewangelicko-augsburski i ewangelicko-reformowany konsystorze poddać zaraz pod bezpośrednie zawiadywanie ministerstwa spraw wewnętrznych z zastrzeżeniem, żeby konsystorze te aż do oddzielnego postanowienia działały na poprzednich podstawach, a we wszystkich wypadkach w których według istniejących przepisów, konsystorze powinny były wyjednywać decyzye zarządu spraw duchownych obcych wyznań w guberniach Królestwa, wznosiły przedstawienia do ministerstwa spraw wewnętrznych.

6. Urzędników zwijanego zarządu sprawami duchownemi obcych wyznań w guberniach Królestwa uznać za spadłych z etatu na ogólnych podstawach ustawy o służbie cywilnéj w Królestwie.

7. Na wzmocnienie w roku bieżącym funduszów departamentu spraw duchownych obcych wyznań przez sumę 12,000 rubli, na jednorazowe wydatki z powodu oddania mu spraw zwijanego zarządu obcemi wyznaniami w guberniach Królestwa, oddać do rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych kredyt, wyznaczony w budżecie na utrzymanie pomieoionego zarządu w ciągu drugiéj połowy 1871 r., o udzielenie zaś niezbędnéj sumy na wzmocnienie funduszów departamentu spraw duchownych obcych wyznań od przyszłego 1872 roku poruczyć ministrowi spraw wewnętrznych wniesienie drogą ustanowioną przedstawienia, przy wzniesieniu budżetu na rok wspomniony.

8. Projekt ministra spraw wewnętrznych o zastósowaniu do kościoła ewangelicko-augsburskiego w Królestwie ustawy obowiązującéj w cesarstwie zakomunikować do przedwstępnych wniosków główno zarządzającego II wydziałem pobocznéj Jego Cesarskiéj Mości kancelaryi i naczelnego prokuratora najświętobliwszego Synodu, a następnie sprawę tę na nowo oddać do rozważenia komitetowi do spraw Królestwa Polskiego.

9. Poruczyć ministrowi spraw wewnętrznych; a) Po porozumieniu się z namiestnikiem w Królestwie wydelegowanie do niego, dla prowadzenia czynności w wydziale departamentu spraw duchownych obcych wyznań, jednego lub kilku służących w ministerstwie urzędników. b) Po porozumieniu z kanclerzem państwa i ministrem finansów określenie dalszego kierunku poruczonéj komisyi między-narodowéj sprawy, o rozdziale dóbr duchowieństwa krakowskiego, w celu najprędszego jéj ukończenia. c) Rozważenie organizacyi zarządu sprawami wyznania reformowanego w guberniach Królestwa odpowiednio do ogólnego obecnie ustanowionego porządku i wniesienie swych projektów, po przedwstępném porozumieniu, z kim należy, do roztrząśniecia komitetu do spraw Królestwa Polskiego.

Taka uchwała komitetu 10 (22) lipca rb. Najwyżéj została zatwierdzona a następnie w skutku najpoddańszego przedstawienia zarządzającego ministerstwem spraw wewnętrznych, 23 lipca rb. Jego Cnsarska Mość raczył naznaczyć termin zwinięcia zarządu sprawami duchownemi obcych wyznań w Królestwie Polskiém i spadnięcia z etatu jego urzędników na dzień 1 sierpnia 1871 r.

Wiadomości potoczne.

— Najprzew. ks. Arcypasterz wrócił zeszłą środę z Gniezna do stolicy swojéj w Poznaniu.

— Dzisiaj wyjeżdża Najprz. ks. Suffragan Janiszewski celem udzielenia Bierzmowania do Wałcza.

— W przyszłym numerze rozpoczniemy druk obszernéj rozprawy o artykułach *Orędownika* w sprawie inspekcyi duchownych w szkole. Dotychczas podaliśmy jeno króciutką korespondencyą „Z nad Warty," zastrzegłszy sobie wyraźnie, że zdania szan. korespondenta nie podzielamy i że osobne nasze w téj mierze wypowiemy zapatrywanie.

— *Dziennik Poznański* przytacza kilka zdań z artykuliku naszego o *Tygodniku wielkopolskim*, który w sposób nader lekkomyślny obszedł się z poważnym pismem, jakim jest niewątpliwie *Przegląd lwowski*. *Dziennik* ujmuje się za p. Libeltem, rozżalony, że tak wielką powagę w świecie literackim, bezwzględnie śmiemy zaczepiać. Otóż my nie cofamy nic z tego cośmy powiedzieli. Pan Libet może być bardzo zdolnym i płodnym pisarzem, może być filozofem, Heglistą lub zwolenikiem Kanta, może być estetykiem, astronomem, lingwistą *itd.* może być, słowem, genialnym polihistorem, atoli geologiem on nie jest (do czego się sam zresztą przyznał), i w rozprawie swéj *O Nawodziskach* popisał rzeczy nienaukowe, powtarzając dziwaczne hipotezy materyalistycznych uczonych jak K a r o l a V o g t a, a bez krytyki i wyboru. Zaś w odpowiedzi swéj danéj p. Stefanowi Pawlickiemu na rozprawę jego w *Tygodniku* naszym zamieszczoną, zamiast po prostu przyznać się do pomyłek i uznać siłę argumentów przeciwnika, takiéj niedojrzałości i tak nieszczęśliwego pomięszania najprostszych pojęć złożył dowody, że ta odpowiedź jego chyba z rozprawą: *O wcielających się idejach wieku* porównaną być może. Na taką swawolę literacką my bezwzględnie zawsze i wszędzie powstawać będziemy. Nie zasłoni nikogo ni słynne skądinąd imię, ni stosy dzieł i rozpraw już publikowanych. Bałwochwalstwo czy polityczne, czy narodowe, czy literackie nie znajdzie w nas zwolenników: my je potępiamy bez miłosierdzia. Panu Libeltowi niczego zgoła nie odmawiamy, ale skoro się odezwie publicznie ze zdaniami przewrotnemi, nienaukowemi a zgubnemi, my mu na ślepo ni wierzyć, ni czołem przed jego imieniem i zasługami bić nie myślimy. Zostawiamy to *Dziennikowi* i licznemu zastępowi bezwzględnych adoratorów, którzy nie pytają się co napisane, jeno na imię autora patrzą z ślepym uwielbieniem. Dość tego bałwochwaltwa u nas, które każąc bezmyślnie *iurare in verba magistri,* zabija samodzielność ducha, krytykę wszelką unicestwia, i istoty do samoistnego sądzenia zrodzone, w prostą trzodę bydląt zamienia. Jeszcze raz: *Dziennik* i *Tygod. wielkopolski,* który nie miał jeszcze czasu otrząść się z studenckich nawyknień, mogą zamiast argumentów i m i o n a same stawiać; dla nas to nie wystarcza, my się ni sławnym, ni pięknobrzmiącym nazwiskiem tak zwanych ludzi wiedzy i zasługi przekupić nie damy. Co do *Dziennika,* który tak chwalebnie ujmuje się za powagą cudzego imienia, dziwimy się, dla czego nie poskarżył się przed publicznością we własnym swym interesie, że mimo wielkości jego niezrównanéj i ustalonéj powagi, *Tygodnik* nasz tak niemiłosiernie go traktuje, co tydzień niemal nędzotę jego umysłową i moralną w bardzo dobitny sposób przedstawiając.

— *Tygod. wielk.* z powodu artykułu naszego o katolickim powieściopisarzu niemieckim, K. Bolandenie, przerażony o przyszłość Polski, woła w rozpaczy: „Dokąd ma nas doprowadzić czytanie niemieckich powieści?" Rzecz prosta: Czytanie powieści n. p. K. Bolandena doprowadzi nas do wzmocnienia ducha, przekonań i uczuć katolickich, do zbogacenia wiedzy, do podniesienia w ogóle skali umysłowéj. Z drugiéj strony czytanie n. p. takiego *Tygodnika wielkopolskiego* zdolne jest zepsuć serce, zwątlić siły duchowe, poprzewracać w umyśle, a w każdym razie jest stratą czasu. *Tygod. wielk.* udaje patriotę i truchleje na samą myśl, zeby któś z Polaków miał czytać katolickiego pisarza, w języku niemieckim. Gdybyśmy zachwalali narodowi sprosne powieści P. Kocka, Dumasa, Hugo, n. p. *Monte Christo*, *Wiecznego żyda*, *Nędzników*, *Przeklętego* itd., toby szan. patryjota *Tygod. wielk.* zacierał niezawodnie ręce z radości. *Tygod. wielk.* sądzi zapewne, że tylko francuzkie rozpustne romanse są zdrowym pokarmem dla narodu naszego. Dobrze, niech się sam na nich zaprawia i niech je ze swéj strony zaleca; co do nas, my powyższych pisarzy uważamy za największych wrogów społeczeństwa, i tych, co ich teoryje komunistyczne rozszerzają, nie mamy za patryjotów, choćby w imię Polski wołali, że czytanie *katolickiego* autora niemieckiego miałoby nas doprowadzić do zniemczenia. *Tygodnik wielk.* doprowadza do n i h i l i s m u — on, patryjota!

Temeritas est florentis aetatis, powiedział Cicero, dodając, że gdy niedojrzała młodzież réj wodzić zacznie, lękać się trzeba rzeczy najgorszych: *Maximae res publicae ab adolescentibus labefactatae.*

Mogą nas posądzać o niegrzeczność, prawdziwości słowom naszym i otwartości nikt nie odmówi.

— Z ważnéj urzędowéj relacyi komendanta Gaveau, złożonéj radzie wojennéj w Wersalu o występkach kommunistów paryskich, wyjmujemy ustęp obszerniejszy, jako zawierający wiadomość o prześladowaniu duchowieństwa.

,,Byłoby, powiada relacya, rzeczą zbyteczną, opowiadać wszystko, co władza rewolucyjna zrobiła w tych dniach terroryzmu w Paryżu. Kto ogólny przegląd tego uczyni, wnet dojrzy brak związku i sprzeczność. Z ich przedsięwzięć nie przegląda żaden porządek, ani system, zdają się tylko wywołane interesem lub namiętnością chwilową. Mają jednak wspólny charakter, a tym jest zuchwałe zdeptanie tych praw, które jak Kommuna oświadczała, miała wziąść w opiekę, oraz małpowanie r. 1793.

,,Służalcze naśladowanie komitetu bezpieczeństwa publicznego, a potém kommuny, prawo o podejrzanych, utworzenie trybunału rewolucyjnego, pod-

danie pod sąd generałów, którym szczęście niedopisało, słowem wszystko nie kazało się nic innego spodziewać, jak rzezi wrześniowych i morderstwa zakładników.

„Tymczasem rząd prawy francuzki ukonstytuował się w Wersalu; niezliczone trudności zwyciężywszy, poczynał zbierać siły potrzebne do przywrócenia w Paryżu porządku. A gdy gdzieindziéj, po różnych miejscach Francyi, uorganizowały się ruchy rewolucyjne, i zostały słumione w Lyonie, w Marsylii, w Limoges, w Saint-Etienne, Paryż został ostatecznie samotnym w swym buncie.

„Działania wojénne, rozpoczęte d. 2 kwietnia i nieprzerwane aż do 28 maja, codzień pogorszające położenie Kommuny, były jéj pozorem do coraz większych okropności. Od pierwszego dnia rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich, usiłowanie pojednania wywołało morderstwa ze strony wojska zbuntowanego. Potem chcąc za złamane plany pomścić się na członkach rządu, Kommuna postawiła ich w stanie oskarżenia i zasekwestrowała majątki, wymyśliła zburzenie domu Thiersa, i w głupiéj wściekłości, zapominając o chwalebnych wspomnieniach, postanowiła i spełniła zburzenie kolumny Vendôme! Lecz gorzéj jeszcze postąpiła. Chwyciła się zbrodniczego systemu zatrzymania zakładników, i ofiar swych poszukała wśród najznakomitszych z duchowieństwa i urzędników. Arcybiskup paryski, proboszcz od św. Magdaleny, i inni duchowni i zakonnicy, zostali przeprowadzeni do Conciergerie z prezydenten Bonjean, przyaresztowanym w ostatnich dniach marca.

„A tu obok powyższych faktów, czyż przypominać należy codzienne pogwałcanie mieszkań prywatnych, łotrostwa wszelkiego rodzaju, pokryte zasłoną rewizyi, nieprawe aresztowania, nieustający rabunek, i barbarzyńskie prześladowanie niezgadzających się na to?

„Zaraz w początku kwietnia poddano konfiskacie majątki duchowieństwa, i zaraz zaczęto w klasztorach i kościołach szereg nieprzerwany szkaradnych rewizyi i świętokradzkich rabunków. W d. 4 kwietnia naszli zakład szkólny Jezuitów na ulicy Stromond, do Misyonarzy Ducha św. i dom Dominikanów na ulicy Jean-de-Beauvais. Zakonnicy byli znieważeni, sprzęty potłuczone, piwnice wypróżnione. We dwa dni potém przez wojsko zajęty został kościół św. Sulpicjusza, napadnięte seminaryum, i zaaresztowany przełożony; następnie odwiedzono kapucynów i Siostrzyczki ubogich,

„Dnia 10 kwietnia zaaresztowano duchownych na Montmartre, kościół zamknięto.

„Dnia 10 kwietnia zrabowany został kościół świętego Jakóba du-Haut-Pas, i klasztor Des Oiseaux, kościół św. Wincentego a Paulo; i tu w miejscu świętem *klub* założono. Znalazłszy w klasztorze Pikpus narzędzia ortopedyczne (do prostowania ułomnych dzieci P. R.) dziennik pewien ogłosił o znalezieniu tortury, a kilka kości tamże znalezionych pokazano glupiéj tłuszczy jako dowody ofiar ślepego fanatyzmu, również jak i jakieś dawne szkielety znalezione i odkopane w kościele św. Wawrzyńca.

„Gdy kolej przyszła na kościół Notre-Dame straszny wrzask podniósł się o głowę dziewczyny, znalezioną w stanie doskonałego zachowania, a którą wszyscy wierni poznali jako głowę z wosku z relikwią świętéj Waleryi.

„Tymczasem wojsko wersalskie zbliżało się coraz bardziéj ściskając okrąg miasta i co dzień wypadła jakaś przegrana dla powstańców. Godziny Kommuny były już policzone. Każdy się na to zgodzi, że wtedy wychodziły tylko burze z jéj łona i z rozpaczonych stronnictw które się z nią związały.

„Jakoż, gdy wojsko zajęło w d. 21 maja wyżyny Trokaderu, obywatel Raoul Rigault kazał zastrzelić zakładnika Chaudey, adwokata przy sądzie appelacyjnym paryskim. Stąd też w nocy d. 23 tłum sfederowaych upitych i rozszalałych napadł na klasztor Dominikanów w Arceuil, i wywlókłszy zakonników, dziko ich pomordował na drodze publicznéj. Nareszcie więzienie la Roquette było w dniach 24 i 25 widownią strasznej rzezi, któréj ofiarami stali się nietylko żołnierze, ale i inne znakomite osoby.

„A tu pozwólmy mówić naocznemu świadkowi tych scen krwawych. Jest nim ks. De Marsy, naprzód uwięziony w więzieniu Mazas, potem przeniesiony do Roquette, dokąd go poprzedzili arcybiskup Darboy, ks. Deguerry, prezydent Bonjeau i niektórzy inni. Cela jego przytykała do celi prezydenta i z nim się porozumiewał, gdy dziki głos i rozkazujący zabrzmiał: — Panie Bonjean wyjdź i zejdź zaraz na dół! — Biedny prezydent zrozumiał o co tu szło i wymieniwszy z sąsiadem ostatnie pożegnanie, wyszedł.

„— Słyszałem jak wymieniano inne ofiary, mówi ks. Marsy, a pomiędzy nimi: *pan Darboy*. Stanąwszy przy oknie, niedługo widziałem orszak męczenników, jak schodził zbliżając się ku mnie, arcybiskup szedł pierwszy. Krata zamykająca drogę pod mojém oknem stała i była otwarta. Arcybiskup położył na niéj rękę, zatrzymał się chcąc mówić, i kilka słów wyrzekł; ale hałas był tak wielki, iż chociaż największéj uwagi dokładałem, nic nie mogłem zrozumieć, wrzaski tych dzikich wnet głos jego stłumiły.

„— Idźmy, idźmy, zawołał jeden z nieszczęśliwych; teraz nie czas na mowy. Arcybiskup pierwszy, a za nim inni przeszli za kratę, odważni, pogodni w obec śmierci i oprawców.

„— Ojciec Ducoudray otwarł sutannę na przodzie, i pokazał im piersi i miejsce gdzie jest serce. Widziałem jak przeszli na dziedziniec zewnętrzny i pozostałem z uczuciami, jakie może mieć kapłan, raz ostatni widzący swego biskupa i biskupa na męczeństwo idącego. Po kilku minutach usłyszałem huk strzałów plutonowych.

„Wszystko to stało się wieczorem d. 24 maja. Nazajutrz innych 15 ofiar było poświęconych; między którymi Ojciec De Bengy z towarzystwa Jezusowego. Stróż który głośno wywoływał imiona skazanych, nie mógł jego nazwiska przeczytać. Zakonnik zbliżył do niego, rzucił okiem na listę i rzekł po prostu: To ja! i poszedł z oprawcami na miejsce śmierci. — Żadnego użalania się, dodaje świadek, żadnéj reklamacyi, ani płaczu, ani zleceń, ani uścisków, lub błogosławieństw, ale prostota, spokój, milczenie, nadawały téj scenie charakter najpoważniejszy i najuroczystszy.

— Wybrani przez kapitułę metropolitalną paryską trzéj wikaryusze kapitularni, po śmierci arcybiskupa Darboy mianowicie ks. Louvrier, ks. Jourdain i ks. Bayle, na list, jaki od siebie Ojcu św. posłali, z doniesieniem o swoim wyborze, otrzymali pod datą 8 lipca odpowiedź, w któréj Papież zaleca im szczególną troskliwość o dobro duchowne archidyecezyi paryskiéj w czasach tak trudnych i niebezpiecznych.

— Pracują nad projektem do prawa przeciwko pijaństwu. *Siècle* wziął w obronę szynki i szynkarzy.

— Roboty około naprawy kaplicy expijacyjnéj Ludwika XVI w Paryżu już ukończone. Haniebne napisy, którémi kommuniści ściany poszpecili zostały usunięte.

— Dnia 11. b. m. odbędzie się w Monachium dwudzieste pierwsze z kolei jeneralne zgromadzenie katolickich Stowarzyszeń niemieckich. *Germania* spodziewa się, że zjazd będzie bardzo liczny. Dotychczas zapowiedziało przybycie swoje przeszło 500 osób. Wymieniają kilku Biskupów i znakomitości niemieckich katolików, którzy po raz pierwszy wezmą udział w tém zgromadzeniu. Podobno i z Austryi i z Alzacyi zapowiedziane jest przybycie znakomitych osobistości.

— Na dzień 6. b. m. naznaczony był zjazd Biskupów z Prus do Fuldy. Dotyczczas nic znane są jeszcze bliższe szczegóły o czynnościach tego zjazdu.

— Minister wyznań bawarski Lutz wystosował pod d. 26 sierpnia do Arcyb. Monachijskiego obszerny memoryał z powodu listu pasterskiego Arcybiskupa ogłoszonego jeszcze w kwietniu. Minister nie uznaje dogmatu nieomylności, rozwodzi się o *Syllabusie,* w końcu z przyciskiem mówi o nie uwzględnieniu *Placetum regium* przez Biskupów co do ogłoszania dogmatu. Pisma berlińskie bardzo z tego memoryału zadowolone. P. Lutz powtarza w gruncie rzeczy wywody p. ministra Muehlera. Należy się ciężkich starć obawiać między Władzą duchowną a ministerstwem, które dla kilku odstępców chciałoby gnębić prawowiernych katolików.

Korespondencya Redakcyi.

Ks. Z. w S. p. N. Formularzy już nie mamy.

P. P. w Gn. Inseratów nie zamieszczamy.

Nakładzca i Redaktor X. J. Stagraczyński w Poznaniu. — Czcionkami drukarni Tygodnika katolickiego (A. Schmaedicke) w Poznaniu. W komisie L. Streisandta w Grodzisku.